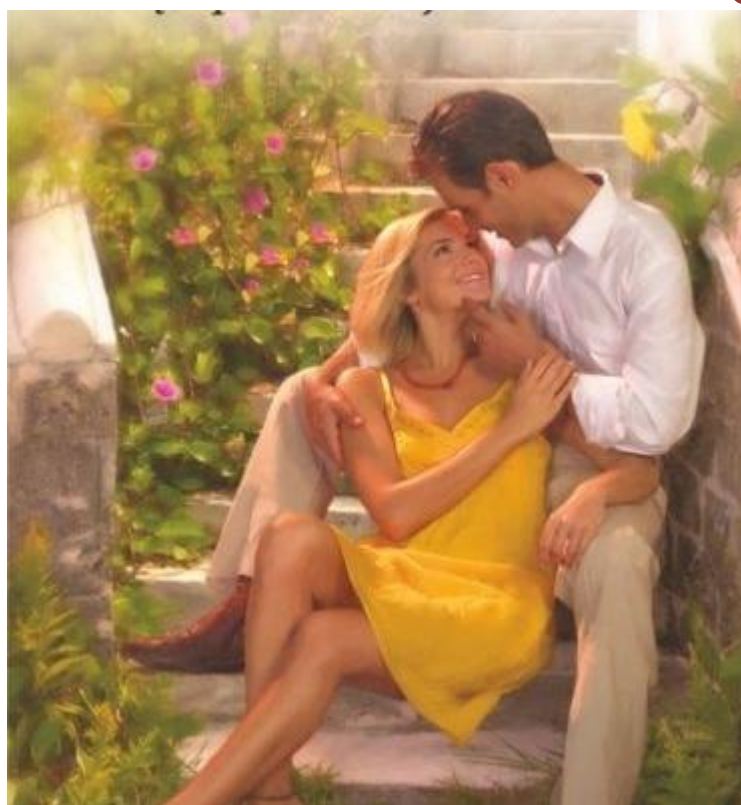




Liz Fielding



Mąż potrzebny od zaraz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

May Coleridge patrzyła w osłupieniu na siedzącego za biurkiem mężczyznę.

Testament dziadka był prosty. Poza darowiznami dla lokalnych organizacji charytatywnych zapisał wszystko swojej jedynej krewnej, czyli May. Podatek spadkowy miał pochłonąć prawie cały spadek z wyjątkiem domu. May zawsze wiedziała, że kiedyś to nastąpi, ale Dom Coleridge'ów był jedynym domem, jaki знаła, a teraz, z powodu jakiejś starej klauzuli, okazało się, że go straci.

- Nie rozumiem - przyznała w końcu. - Dlaczego mi tego nie powiedziałaś, odczytując ostatnią wolę dziadka?

- Jak z pewnością wiesz - wyjaśnił Freddie Jennings z irytującą pompatycznością, jakby nie znała go od dziecka - mój wuj aż do emerytury zajmował się sprawami twojego dziadka, który sporządził testament po śmierci twojej matki...

- To prawie trzydzieści lat temu.

Wzruszył ramionami.

- Wierz mi, jestem tak samo zszokowany jak ty.

- Jenningsowie są od pokoleń prawnikami rodziny Coleridge'ów - odparła. - Jak mogłeś o tym nie wiedzieć?

Freddie poprawił się nerwowo na krześle.

- Część archiwów Coleridge'ów uległa zniszczeniu kilka lat temu podczas powodzi. Dopiero kiedy wystąpiłem o uwierzytelnienie testamentu, ta sprawa wypłynęła.

May miała wrażenie, jakby ziemia rozstępowała się pod jej nogami, a wszystko, co dotąd było pewne, zostało zakwestionowane. Była przekonana, że to jakiś błąd, że Freddie zdenerwował się bez powodu. Jednak był powód. I to najważniejszy na świecie.

Chciano jej zabrać wszystko, co było jej drogie.

- Ostatnio ta klauzula miała zastosowanie w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, kiedy zmarł twój pradziadek - podjął. - Twój dziadek został wówczas o niej poinformowany.

- W czterdziestym czwartym dziadek był czternastoletnim chłopcem - warknęła zniecierpliwiona jego próbą usprawiedliwienia własnej niekompetencji. - A ponieważ

ożenił się w wieku dwudziestu trzech lat, to nie stanowiło dla niego problemu. - Niestety wylew w dużym stopniu pozbawił dziadka pamięci, więc nie był już w stanie jej ostrzec. May siłą woli powstrzymywała łzy. - W tamtych czasach ludzie pobierali się w młodszym wieku niż teraz - dodała.

- Nie było wyboru.

- Nie...

Z kolei jej matka była beneficjentką ruchu feministycznego, należała do nowo wyzwolonego pokolenia kobiet, które zrzuciły pęta patriarchalnego społeczeństwa i wybrały własną drogę. „Macierzyństwo bez problemów z mężczyzną, który pęta ci się pod nogami”, napisała w jednym z wielu artykułów na ten temat.

Jeśli chodzi o May, ta miała inne priorytety.

- Musisz przyznać, że to oburzające, Freddie. Na pewno mogę to podważyć?

- Musiałbym zasięgnąć opinii, ale nawet gdybyś poszła z tym do sądu, mógłby być problem.

- Już ustaliliśmy, że mam problem. - Potrząsnęła głową. Warczenie na Freddiego w niczym jej nie pomoże. - Mów.

- Niewątpliwie przypominano twojemu dziadkowi o tej klauzuli za każdym razem, kiedy zmieniał testament. Po ślubie, po narodzinach twojej matki, po śmierci twojej babki. Mógł wówczas podjąć kroki w celu jej usunięcia. A jednak ją zostawił.

- Dlaczego?

Freddie wzruszył ramionami.

- Może to rodzinna tradycja. Jego ojciec tego nie zmienił. Ja doradziłbym, żeby się tego pozbyć, ale mój wuj i twój dziadek należeli do innej epoki. Inaczej postrzegali świat.

- Mimo to...

- Miał trzy okazje, żeby unieważnić tę klauzulę. Oskarżyciel twierdziłby, że wola twojego dziadka było, żeby pozostała. Obrońca zaś, że gdyby nie wylew, byłby świadom twojej sytuacji i by ją usunął. - Freddie próbował ją pocieszyć.

- Gdyby nie dostał wylewu, wyszłabym za Michaela Lintona. - Byłaby bezpiecznie poślubiona, jak mawiał dziadek. Nie tak jak jej matka.

- Przykro mi, May. Gwarantuję ci, że cokolwiek zrobisz, poniesiesz ogromne koszty, a jak wiesz, nie ma środków, żeby je pokryć.

- Innymi słowy tak czy owak stracę dom - stwierdziła. - Cokolwiek zrobię, przegram.

- Jedynymi wygranymi w takiej sytuacji są prawnicy - przyznał Freddie. - Mam nadzieję, że ze sprzedaży wyposażenia domu uzyskasz dość, żeby po opłaceniu podatku od spadku stać cię było na kupno mieszkania, a może nawet małego domu.

- Chcą i podatku, i domu?

- To dwie odrębne sprawy.

Wciąż nie mogła w to uwierzyć.

- Gdyby te pieniądze miały służyć jakiemuś szlachetnemu filantropijnemu celowi, jakoś bym to przeżyła, ale jeśli mój dom ma wzbogacić państwową kasę...

- Twój przodek zdecydował tak na początku dziewiętnastego wieku. Kraj był w stanie wojny. Pradziadek był patriotą.

- Och, proszę. Chodziło tylko o okiełznanie bałamutnego syna. Albo się ustatkuje i zadba o potomstwo, albo zostanie bez grosza.

- Może. Ale klauzulę dodano i nikt jej nigdy nie podważał. Masz jeszcze czas, May, możesz wyjść za mąż.

- To są oświadczyzny?

- Niestety, bigamia nie spełniałaby wymogów prawnych.

Freddie Jennings ma poczucie humoru?

- Nie spotykasz się z nikim? - spytał z nadzieją.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Tylko jeden chłopak rozpałił jej serce i ciało...

- Byłam zajęta opieką nad dziadkiem oraz firmą, więc nie miałam na to czasu.

- Nie masz nawet znajomego, który byłby gotów ci jakoś pomóc?

- W tej chwili nie mam żadnych kontaktów z wolnymi mężczyznami - odparła. - No dobrze, jest Jed Atkins, który pomaga mi w ogrodzie. Po siedemdziesiątce, całkiem zwawy. Niestety musiałabym walczyć z konkurencją.

- Z konkurencją?

- Podobno jest nadzwyczaj popularny wśród pań z klubu Darby i Joan.

- May... - Urwał, a ona zaczęła się śmiać. Cała ta sytuacja była nierealna. - Lepiej odwiozę cię do domu.

- Pewnie nie masz żadnych klientów, którzy muszą się szybko ożenić, żeby móc zostać w kraju? - zapytała, kiedy wyprowadzał ją z biura w obawie, że wpadnie w histerię.

Nie musiał się o to martwić, w końcu nosiła nazwisko Coleridge. Mary Louise Coleridge z Domu Coleridge'ów. Wychowana, by służyć innym, zachowywać się nienaganie w każdej sytuacji i zawsze robić to, co należy, nawet z bólem serca. Takie kobiety jak ona nie wpadają w histerię tylko dlatego, że Freddie Jennings oznajmia, że tracą cały swój majątek.

- Jeśli to rozważasz - otworzył jej drzwi samochodu - dopilnuj, żeby ten ktoś podpisał umowę przedślubną, bo inaczej będziesz musiała sporo zapłacić, żeby się go pozbyć.

- Czyli stracę po trzykroć - stwierdziła. Potem dodała: - Właściwie chętnie się przejdę. Muszę pooddychać świeżym powietrzem.

Freddie coś mówił, ale ona już się oddaliła. Chciała zostać sama i pomyśleć. Tracąc Dom Coleridge'ów, straci nie tylko miejsce zamieszkania, ale także źródło utrzymania. Podobnie Harriet Robson, gosposia dziadka od ponad trzydziestu lat, osoba bliska jej prawie jak matka.

Będzie musiała znaleźć pracę i dom. Albo, rzecz jasna, męża. W kiosku przy bramie parku kupiła poranną lokalną gazetę, by przejrzeć strony z ogłoszeniami. Nie było pracy dla kobiet tuż przed trzydziestką, które nie ukończyły studiów czy choćby kursu pisania na maszynie, zaś ceny domów w Maybridge były porażające.

Za to strona z ogłoszeniami matrymonialnymi była pełna. Mając cenny dom jako wabik, łatwo znalazłaby męża. Chociaż biorąc pod uwagę, ile czasu zostało jej do urodzin, chyba i to okazałoby się trudne.

Adam Wavell przeniósł wzrok ze śpiącego w różowej pościeli dziecka na kartkę, którą trzymał w dłoni.

Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Powinnam ci powiedzieć o Nancie, ale krzyczałbyś na mnie...

Krzyczałyby na nią?! Oczywiście że tak, niezależnie od rezultatu.

- Jakiś problem?

- Można tak powiedzieć. - Po raz pierwszy, odkąd zatrudnił Jake'a Edwardsa jako asystenta, pożałował, że nie wybrał jednej z równie wykształconych kobiet, które starały się o tę pracę. Czule zaopiekowałyby się teraz dzieckiem, a jemu pozwoliłaby zająć się firmą. - Moja siostra przeżywa kryzys.

- Nie wiedziałem, że ma pan siostrę.

Adam z całych sił starał się zdystansować od swojej rodziny.

- Saffy. Mieszka w Paryżu - dodał.

Być może. Wystarczył jeden telefon, by się dowiedział, że podnajęła mieszkanie, które wynajął dla niej kilka miesięcy temu. Prawdopodobnie żyła z tego podnajmu, bo dotąd nie prosiła go o pieniądze. Przypuszczalnie wprowadziła się do ojca dziecka, choć jemu o tym związku nie wspomniała, i pewnie teraz staczała się po równi pochyłej.

Dzwoniła okazjonalnie. Każda sugestia, że on ją wypytuje, co robi i z kim się spotyka, skutkowała tylko dłuższymi okresami milczenia. To było jej życie i skoro wydawała się szczęśliwa, nie wtrącał się. Miała dwadzieścia dziewięć lat, była wystarczająco dorosła, by się ustatkować. Najwyraźniej, pomyślał, czytając jej list, oszukiwał się.

Wpakowałam się w nie lada kłopoty...

A więc nic nowego. Kłopoty to jej specjalność.

Rodzina Michela nasłała na mnie detektywów. Wykryli moje problemy z dzieciństwa, kradzieże w sklepach, narkotyki, i wykorzystali to, żeby go ode mnie odsunąć. Postarał się o zakaz sądowy, który zabrania mi wywiezienia Nancie z Francji, chce mi ją odebrać...

To nie w porządku. Od lat była czysta. A może się wciąż oszukiwał?

Znajomy nielegalnie wywiózł nas z Francji, ale nie mogę ukrywać się z dzieckiem, więc zostawiam ją z tobą...

Nielegalnie wyjechała z Francji. Zignorowała zakaz sądowy. Pozbawiła ojca kontaktów z dzieckiem. Ile to w sumie ciężkich przestępstw? Dopiero co omawiał ostatnie szczegóły największego kontraktu w swojej karierze, a chwilę później siostra robi mu taką niespodziankę!

Na jakiś czas zamierzam zniknąć...

Jego młodsza siostra wciąż uciekała, a ktoś inny musiał po niej sprzątać. Uciekała, zażywała narkotyki, piła alkohol, rozpaczliwie próbując odciąć się od złych wspomnień. Szła za przykładem ich beznadziejnych rodziców, pogarszając już i tak złą sytuację. Sądził, że w końcu się pozbiierała i odnosi niewielki sukces w zawodzie modelki. Może chciał w to wierzyć?

Niezależnie od wszystkiego nie dzwoń do żadnej agencji opiekunek do dzieci. Będą od ciebie wyciągali różne informacje, a wtedy tata Nancie ją znajdzie...

Boże, kto jest ojcem tego dziecka? Czy Saffy znalazła się w niebezpieczeństwie? Poczucie winy Adama było teraz silniejsze od złości. Musi ją znaleźć, załatwić tę sprawę. Dziecko się poruszyło i zakwiliło.

Saffy zdołała je podrzucić do jego biura ukradkiem. Musi potem zwrócić uwagę ochronie. Teraz najważniejsze, by wyniósł małą z biura, nim zacznie głośno płakać i jego rodzinna historia znów stanie się tematem plotek.

- Czy mam zadzwonić do agencji? - spytał Jake.

- Agencji?

- Opiekunek do dzieci.

- Tak... Nie.

Nawet jeśli lęki Saffy były nieuzasadnione, nie miał miejsca dla niani. Nie miał nawet osobnej sypialni, spał na galerii, na którą wchodziło się po krętych schodach.

Jego mieszkanie nie nadaje się dla dziecka, pomyślał, patrząc na post scriptum na końcu zalanego łzami listu.

Poproś May. Ona ci pomoże.

Podkreśliła te słowa dwa razy.

May. May Coleridge. Zgniół list w dłoni.

Ostatnio rozmawiał z May, kiedy miał osiemnaście lat. Chodziła do klasy z Saffy i chociaż nie łączyła ich typowa dziewczęca przyjaźń - tacy jak jego rodzina nie byli mile widziani w Domu Coleridge'ów, o czym przekonał się na własnej skórze - łączyło je coś, czego nigdy nie rozumiał.

Choć myśl o niedostępnej pannie Coleridge, która zmienia pieluchy małej Wavell, sprawiła mu sporą satysfakcję, to jednak May do mistrzostwa opanowała sztukę traktowania go jak powietrze. Nawet podczas oficjalnych spotkań nie patrzyła mu w oczy. Okazywała mu wyłącznie chłodną uprzejmość.

- Mogę w czymś pomóc?

Pokręcił głową. Jego rodzina to zawsze był tylko jego problem.

- Przejrzyj sprawy poruszone na spotkaniu, Jake.

Spojrzał na zgniecioną kartkę, rozprostował ją, złożył i schował do kieszeni. Zdjął marynarkę z oparcia krzesła.

- Daj mi znać, gdyby coś się działo, jadę do domu.

W pierwszej chwili na wiadomość, że straci dom, May miała chęć tam pobiec i w nim szukać pocieszenia, choćby złudnego. Próbować pogodzić się z faktem, że straciwszy ostatniego członka rodziny, utraci wszystko. Dom, pracę, przyszłość. Miała bardzo niewiele czasu na zamknięcie minionego okresu życia, w tym działalności, którą zajęła się przez przypadek, a która od kilku lat dawała jej utrzymanie.

Najgorsze było to, że będzie musiała powiedzieć o tym Robbie. A także zwolnić Patsy i parę innych kobiet, które po kilka godzin tygodniowo pomagały jej w sprzątaniu i gotowaniu.

Nie będzie miała czasu żałować ich wsparcia i przyjaźni. Za niecały miesiąc obchodzi urodziny. Te urodziny. Z dużym zerem na końcu. Jeszcze wczoraj wcale się tym nie przejmowała. Nigdy nie rozumiała, dlaczego ktoś chciałby zatrzymać zegar życia na liczbie dwadzieścia dziewięć.

Tego dnia, gdyby pojawiła się przed nią wróżka i obiecała, że spełni jej trzy życzenia, to byłoby pierwsze życzenie na jej liście. No, może nie pierwsze...

Ale ponieważ wróżki to bajkowe byty, dzień jej urodzin niechybnie nadejdzie. Kiedy dotarła do ostatniej parkowej ławki, tej nad stawem, który niegdyś należał do parku otaczającego Dom Coleridge'ów, nogi tak jej drżały, że musiała się zatrzymać.

Gdy już usiadła, brakowało jej sił, by znów się podnieść. Ławka była ze wszystkich stron osłonięta, sięgało tam tylko słońce i choć zaczął się listopad, May czuła przy-

jemne ciepło. Siedząc na tej ławce, wciąż była panną Mary Louise Coleridge z Domu Coleridge'ów, kimś, kto zasługuje na szacunek.

Zasiadała w komitetach lokalnych organizacji dobroczynnych, to stanowiło część jej życia. Patrząc na to trzeźwo, zdawała sobie sprawę, że to nie ona sama się liczyła, że ważne było nazwisko, które przydawało blasku ich wysiłkom. I Dom Coleridge'ów.

Nikt by do niej nie zapukał, gdyby nie miała eleganckiego, choć starego domu z wielkim ogrodem, w którym można organizować rozmaite imprezy.

Nagle płaczliwe miauczenie kota wyrwało May z ponurych myśli. Po chwili wypatrzyła rude futerko na gałęzi ogromnej starej brzozy rosnącej z dala od ścieżki.

- Och, kochanie, jak ty się tam dostałeś?

W odpowiedzi usłyszała jeszcze bardziej rozpaczliwe miauczenie. Wstała i podszła bliżej.

- Schodź, dasz radę - zachęcała z nadzieją, że skłoni kota do zejścia po pochyłej, prawie sięgającej ziemi gałęzi.

Tymczasem kot wspiał się jeszcze wyżej.

May poszukała wzrokiem kogoś, kto dosięgnąłby kota, ale w okolicy nie było żywej duszy. Wreszcie zdjęła zakiet i buty, okrążyła błotnistą kałużę i zaczęła się wspinać.

Żałując, że skorzystał z dobrej pogody i przyszedł do pracy spacerem, Adam wymknął się z budynku prywatną windą prosto na parking. Miał nadzieję złapać taksówkę na postoju, ale postój był pusty. Przeszedł na drugą stronę do parku. Wybrał dłuższą drogę do domu, bo szansa na to, że natknie się tam na kogoś znajomego, była dużo mniejsza.

Nie zwracając uwagi na piękny jesienny ranek, jedną ręką pchał wózek, w drugiej trzymał telefon i wydzwaniał do wszystkich, którzy mogli mieć pojęcie, gdzie podziewa się Saffy. Gdy tylko znalazł Nancie, zadzwonił na komórkę Saffy, ale siostra nie odbierała. Zostawił jej wiadomość, prosząc, by do niego oddzwoniła.

Dziesięć minut później wiedział jedynie to, że nie wie nic. Nowi lokatorzy mieszkania Saffy, jej były agent, jej dawna współlokatorka zgodnie twierdzili, że nie wiedzą, co się dzieje z Saffy czy z Michele. Adam spojrzał na Nancie przekonany, że chociaż

kołysanie wózka ją uspiło, mała niedługo się obudzi i będzie się domagała karmienia i zmiany pieluszki.

„Poproś May. Ona ci pomoże”.

Przed nim ponad wierzchołkami drzew pięły się wysokie, zbudowane z czerwonej cegły kominy Domu Coleridge'ów. Przez lata unikał tej części parku, wolał nadłożyć drogi, niż mijać ten dom. Już sam widok kominów sprawiał, że czuł się nikim. Owszem, teraz mógłby kupić i sprzedać Coleridge'ów, a jednak ten dom wciąż tam stał. Świadczyło o ich wyższości i jego pozycji.

Zwrócenie się z prośbą do May nie było dla niego łatwe, ale jedno wiedział na pewno. May nie zadawałaby mu pytań. Znała Saffy. Znała jego.

Dzwonił do informacji z pytaniem o jej numer. Niestety nim nie dysponowali. Nic dziwnego, a może to i dobrze. O wiele trudniej będzie jej odmówić, gdy poprosi ją o pomoc, stojąc z nią twarzą w twarz. Kiedy May weźmie na ręce Nancie.

To nie jest wysoko, mówiła sobie May, pewnie stawiając stopę na gałęzi. Musi tylko podciągnąć się na tę drugą gałąź. Łatwo powiedzieć. Kiedy stała, podnosząc wzrok, wydawało jej się, że to niewysoko. Ważne, by nie patrzeć w dół, tylko dążyć do celu.

- Co ty tam wyprawiasz, Myszo?

A niech to! Kolano jej się ześliznęło, rajstopy się podarły. Myślała, że tego dnia nic gorszego już jej nie spotka! Nie musiała spoglądać w dół, bo tylko jedna osoba tak ją nazywała.

- A jak myślisz? - spytała przez zęby. - Podziwiam widoki.

- Powinnaś stamtąd widzieć Melchester Castle - odparł, jakby mówiła poważnie. - Jest bardziej w lewo.

Już i tak miała problem z patrzeniem przed siebie. Cierpiała na lęk wysokości, lecz zawsze przypominała sobie o tym poniewczasie.

- To może wejdiesz tu i pokażesz mi, gdzie to jest? - warknęła.

- Chętnie bym to zrobił, ale wątpię, żeby ta gałąź utrzymała nas oboje.

Miał rację. Kiedy May próbowała zbliżyć się do kota, gałąź groźnie zaskrzypiała. Kot zaś, choć starała się go nie przestraszyć, cofał się i prychał przerażony.

Było już za późno żałować, że się tu wspięła. W bardzo wczesnym wieku zrozumiała, że padające z jej ust żalosne pytanie: Gdzie jest silny mężczyzna, który mi pomoże? nie wywołuje żadnej reakcji. Nie była dość szczupła, dość ładna i dość jasnowłosa, a zatem nauczyła się sama sobie radzić.

To właśnie temu zawdzięczała swoje przezwisko Mysz, skrót od Dzielnej Myszy, bohaterki kreskówek, zwłaszcza że zabierając się do czegoś, nie myślała o konsekwencjach. Wymyślił je Adam Wavell, kiedy była puciołowatą nastolatką, on zaś kuzynem i okularnikiem.

Jej kolano zsunęło się po raz drugi. Jęk, który usłyszała z dołu, ostrzegł ją, że nie tylko Adam podziwia jej bieliznę. Jej wyczyny przyciągnęły widzów. Byli wśród nich właściciele psów na spacerze ze swoimi pupilami, dzieci, które miały jesienną przerwę w nauce i ci, którzy wybrali się na zakupy ścieżką przez park.

Potem usłyszała pstryknięcie, a po nim kilka kolejnych. Robią jej zdjęcia telefonami komórkowymi! Znajdzie się w jutrzejszym wydaniu „Maybridge Observer”, albo, co gorsza, jej podobizna wyląduje na YouTube.

Sama jest sobie winna. Kiedy następnym razem zobaczy jakieś zwierzę w niebezpieczeństwie, zadzwoni do Królewskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami i zostawi im rozwiązanie tej sprawy. Teraz niestety musi zrobić to sama, a im szybciej złapie kota, tym lepiej.

- Kici kici - kusila, a kot jedynie prychnął i odsuwał się dalej.

Mrucząc pod nosem, ruszyła za nim. Kot miał nad nią przewagę. W przeciwieństwie do niej nie ważył prawie nic. Gdy gałąź zrobiła się cieńsza i zaczęła się uginać, May rzuciła się do przodu, zyskując aplauz tłumu, i w końcu złapała kota. Niewdzięcznik wbił zęby w jej kciuk.

- Rzuć go! - Adam wyciągnął ręce.

Przerażony kot trzymał się jej tak rozpaczliwie, jak chwilę wcześniej gałęzi.

- Nie upuść go! - zawołała.

Znajdowała się dość wysoko i musiała się mocno pochylić, by oddać Adamowi kota. To był błąd. Zakręciło jej się w głowie i zanim powiedziała kurka wodna, straciła

równowagę. Adam nie zdążył uskoczyć na bok. May zjechała po gałęzi prosto na niego i razem wylądowali na ziemi. Omal nie spaliła się ze wstydu.

- Nie zmieniałaś się, Myszko - zauważył Adam, kiedy łapała oddech.

Dopóki na nim leżała, objęta jego ręką, wciąż z trudem oddychała. Spełniły się jej najbardziej intymne marzenia, choć z drugiej strony tego właśnie pragnęła uniknąć.

- Zawsze najpierw działasz, potem myślisz. Spieszysz na pomoc jakiejś biednej istocie i kończysz mokra albo zabłocona, albo jedno i drugie.

- A ty pojawiaasz się za późno, żeby coś zrobić. Zawsze stoisz z boku i śmiejesz się ze mnie - odparła z furją. To była nieprawda, ale w tej chwili marzyła tylko o tym, by rozpląnąć się w powietrzu.

- Musisz przyznać, że zawsze potrafiłaś wszystkich rozbawić.

- Jeśli lubisz kłownów - mruknęła, przypominając sobie, jak przy pomocy swoich pulchnych rąk i nóg wspinała się na dach szkoły podczas burzy, by uratować ptaka, który uwiązł w rynnie.

Nigdy nie miała problemu z wchodzeniem do góry. Wtedy też Adam stał na dole, deszcz padał mu prosto w twarz, a on uśmiechał się, odbierając od niej ptaka. Potem, kiedy zrozumiał, że May boi się zejść, zdjął okulary i wspiał się, by jej pomóc.

Nie, nie podziękowała mu, skądże. Krzyczała na niego, że wypuścił ptaka, a ona nie może go zanieść do domu, by dołączył do reszty jej nieszczęsnych stworzeń. Dopiero gdy stanęła na ziemi, zaczęła mieć problem z oddychaniem. Adam odprowadził ją do szkolnej pielęgniarki, przekonany, że ma atak astmy. A ona była zbyt zażenowana, by zaprzeczyć.

Tak, nic się nie zmieniło. Do trzydziestki brakuje jej niecały miesiąc, prowadzi firmę, jest szanowana za działalność charytatywną, ale wewnątrz pozostała nastolatką z nadwagą, którą zauważył chłopak, w którym się podkochiwała. Przystojny i inteligentny, ale ze złej rodziny. Outsider, jak ona. Teraz jednak Adam nie był już outsiderem. Wykorzystał swoje zdolności i osiągnął wielki sukces, nie tylko na skalę Maybridge. Zamienił paskudne mieszkanie w betonowej czynszówce, gdzie się wychował, na luksusowy loft na nabrzeżu.

May wyzwoliła się z jego uścisku i wstała. On poszedł za jej przykładem z większą gracją.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

- Nie - odparła, ignorując ból w łokciu, którym uderzyła o ziemię. - A tobie? - zapytała przez uprzejmość.

Widziała, że był w dobrej formie. Od lat już nie nosił okularów, zmienił fryzurę i ubranie. Nigdy nie był atletycznej budowy, ale z wiekiem zmeźniał. Wyglądał fantastycznie w szytych na miarę garniturach. Jeśli wierzyć kolorowym magazynom, nie mógł opędzić się od kobiet.

- Przynajmniej nie wypuściłeś kota - dodała, przybierając pozę wyższości.

- To nie moja zasługa. On się mnie trzyma.

- Co? - Zobaczyła krew na ręce Adama, gdzie kot wbił pazury, i zapomniała o wszystkim innym. - O Boże!

- Znaleźć się blisko ciebie jest zawsze ryzykowne. Chociaż ty też ucierpiałś - zauważył.

Kiedy ujął jej dłoń, na której widniała krew zmieszana z błotem, May dosłownie podskoczyła.

- Gdzie masz torebkę? - zapytał Adam. - Masz swój inhalator?

Dzięki Bogu nigdy nie przyszło mu do głowy, że to jego obecność tak działa na jej układ oddechowy.

- Czuję się dobrze.

Na Boga, już dawno powinna wyrosnąć z emocji, jakie budziła w niej obecność Adama.

- Chodźmy - odezwał się. - Odprowadzę cię do domu.

- Nie ma potrzeby - zaprotestowała,

- Jest, a poza tym zamierzam domagać się nagrody za mój dobry uczynek.

- Nagrody? - W ustach jej zaschło. W bajkach nagrodą jest pocałunek. - Superbohaterowie nie oczekują nagrody - rzekła złośliwie, zawijając krnąbrnego kota w żakiet.

- To ty jesteś superbohaterką, Myszek - przypomniał jej z błyskiem w oku, przywołując ten cenny czas, kiedy się przyjaźnili. - Ja jestem tylko zaufanym pomagierem, który pojawia się w ostatniej chwili, żeby wyciągnąć cię z kłopotów.

- Przynajmniej raz na jakiś czas mógłbyś pojawiać się we właściwym czasie, żeby uchronić mnie przed kłopotami - odburknęła.

- I stracić świetną zabawę? - zapytał, a ona musiała użyć całej siły woli, by się nie uśmiechnąć.

- Naprawdę uważasz, że chcę pokazać majtki na pierwszej stronie „Maybridge Observer”? - zapytała ostro. Potem, gdy z jego oczu zniknęły przekorne iskry, dodała: - Nie martw się. Przeżyję to upokorzenie.

- Jako naoczny świadek twojego upokorzenia, zapewniam cię, że jutrzejsza gazeta sprzeda się na pniu.

May nie wiedziała, co odpowiedzieć, kiedy podjął:

- A jeśli właścicielom kota uda się oderwać wzrok od koronki, mogą rozpoznać swoją zgubę.

- Nie należy tracić nadziei - powiedziała oschle.

Pokręciła głową. Zdała sobie sprawę, że niezależnie od tego, jak bardzo chciała uciec gdzie pieprz rośnie, nie mogła zignorować faktu, że to przez nią Adam został do krwi podrapany, a jego marynarka ubłocona.

- Lepiej chodźmy do domu to wyczyścić - powiedziała.

- Jeśli proponujesz, że polejesz mnie węzem, to się poddam.

Ich oczy się spotkały. Oboje pamiętali tę koszmarną chwilę, kiedy on przyszedł do niej z bukietem czerwonych róż, które kosztowały go majątek, a jej dziadek skierował na niego strumień wody z ogrodowego węża.

- Nie bądź śmieszny - odparła, przelękając wstyd.

Podniosła z ziemi buty i torebkę. Nie potrafiła jednak spojrzeć mu znów w oczy, gdy mówiła z rezerwą:

- Robbie zajmie się tobą w kuchni.

- W kuchni? Nigdy dotąd nie wpuszczono mnie tak daleko. Ale mówiąc szczerze, właśnie się do ciebie wybierałem.

Z wystudiowaną nonszalancją, jakby w ostatniej chwili dotarły do niej jego słowa, zapytała:

- Do mnie? A po cóż, na Boga, miałbyś się do mnie wybierać?

Zamiast jej odpowiedzieć, zwolnił hamulec w wózku, który stał nieco dalej na ścieżce. May zakładała, że wózek należy do kobiety w płaszczu i chustce na głowie, która jeszcze chwilę wcześniej nim kołysała.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Adam, co robisz?

- Interesujące pytanie. Myszo, poznaj Nancie.

- Nancy?

- Nancie. Ortografia nie była mocnym punktem Saffy.

Mocne punkty Saffy robiły tak duże wrażenie, że dziewczyna nigdy nie dbała nie tylko o ortografię. Miała długie kruczoczarne włosy, figurę jednocześnie zmysłową i eteryczną, i odkąd tylko osiągnęła wiek dojrzewania, przyciągała chłopców jak magnes. I zawsze wpadała w kłopoty. Ale dziecko...

- To córka Saffy? - May uniosła kącki warg. Śpiące dziecko leżało pod różową kołderką. - Jest śliczna.

- Tak?

Adam pochylił się nad wózkiem, jakby dotąd tego nie zauważył.

- Zostawiłeś ją - zarzuciła mu May. - To ukochana córka Saffy, a ty ją zostawiłeś na ścieżce, żeby się na mnie gapić? O czym ty myślałeś?

Wrócił do niej spojrzeniem, marszcząc czoło, wnosząc z jej tonu, że uśmiech byłby błędem.

- Myślałem, że masz problem i potrzebujesz pomocy.

- Głupi jesteś! - Przez chwilę wzruszył ją widok tego mężczyzny opiekującego się niemowlęciem. - Nie jestem dzieckiem. Dałabym sobie radę.

- Wielkie dzięki.

- Nie musisz się od razu obrażać - burknęła - ale kiedy ty udawałeś rycerza, ktoś mógł ukraść wózek z dzieckiem.

- Co? - Potarł twarz. - Masz rację. Jestem głupi. - Spojrzał na dziecko. - Czuję się zagubiony.

- Naprawdę? Niech zgadnę - rzekła May. - Czy powód, dla którego się do mnie wybierałeś po latach, ma coś wspólnego z nagłą potrzebą zatrudnienia opiekunki?

- Dzięki, May. Saffy powiedziała, że mogę na ciebie liczyć.

- Tak? - May popatrzyła na śliczne bezradne dziecko. Nie pozwoli sobą manipulować. Ma dość własnych problemów, by brać sobie na głowę cudze. - Ja tylko pytam, nie oferuję swoich usług. - Ruszyła przed siebie, jakby rozmowa dobiegła końca. - Gdzie jest Saffy?

- Nie ma jej tu. Odpoczywa. Zostawiła Nancie pod moją opieką.

- Powodzenia. Nie prosź mnie o pomoc. Nie mam zielonego pojęcia o wychowywaniu dzieci.

- Już udowodniłaś, że wiesz więcej niż ja. Poza tym jesteś kobietą. Kobiety mają to w genach.

Nie potraktował jej odmowy poważnie, co ją irytowało, zwłaszcza że przez ostatnie dziesięć lat odzywał się do niej tylko wtedy, gdy był do tego zmuszony.

- To oburzające, co mówisz - stwierdziła, choć miała wielką ochotę wziąć Nancie na ręce i powiedzieć jej, że ochroni ją przed wszelkim złem. Tak jak kiedyś powiedziała jej matce. Ale trzymała już kota. I pewnie na resztę życia pozostanie jej opieka tylko nad kotami. Za dziesięć lat będzie zdesperowaną kobietą zaglądnącą do cudzych wózków.

- Pomyśl o Nancie jak o jednej z twoich bezbronych istot, którym zawsze pomagałaś. - Dotknął palcem rudego kociego łebka. - Dobrze na tym wychodziły.

- Nancie - odparła, udając, że nie słyszała pochlebstwa - nie jest zranionym ptakiem czy przestraszonym kotem.

- Zasada jest ta sama. Musi mieć ciepło, sucho i trzeba ją nakarmić.

- Sam świetnie wiesz, co robić. Nie jestem ci potrzebna.

- Przeciwnie. Prowadzę firmę. Jutro lecę do Ameryki Południowej.

- Do Ameryki Południowej?

- Najpierw do Wenezueli, potem do Brazylii i Samindery. Jeśli nie czytasz stron poświęconych finansom i gospodarce, nie wiesz, o co chodzi. Wątpię, żeby pisano o tym w kolumnach towarzyskich.

- Samindera - powtórzyła z troską. - Czy to tam ciągle są zamachy stanu?

- Ale są tam też plantacje jednego z najlepszych gatunków kawy na świecie - rzekł z uśmiechem.

- No, to imponujące - powiedziała. Odsuwała od siebie wspomnienie pocałunków Adama. - Ale nie tylko ty pracujesz. - Jej zajęcie w niczym nie przypominało jego kariery, ale dla niej znaczyło wiele. Co prawda, długo to już nie potrwa.

Musi zapomnieć o Adamie i jego siostrzenicy, wracać do domu, przekazać Robbie złe wieści i zacząć robić plany. Spróbować od nowa budować sobie życie.

Tak jak kiedyś zrobił Adam.

- I bez Nancie mam masę kłopotów - oznajmiła. Potem, nim zaczął ją wypytywać o szczegóły, dodała: - Myślałam, że Saffy mieszka w Paryżu i pracuje jako modelka. Kiedy ostatnio miałam od niej wiadomości, nieźle jej się wiodło.

- Utrzymywała z tobą kontakt? - Spuścił wzrok. - Dlaczego idziesz na bosaka?

Spojrzała na niego, świadoma, że Adam powiedział coś, czego już żałował, i celowo zmienił temat.

- Mam zabłocone stopy. Już i tak zniszczyłam kostium. - Który będzie potrzebny podczas rozmów kwalifikacyjnych, zakładając, że ktoś wykaże zainteresowanie osobą bez dyplomu. - Nie chcę zniszczyć przyzwoitych butów.

W tej samej chwili nadepnęła na mały kamyczek i skrzywiła się. Adam chwycił ją za rękę.

- Idź po trawie - powiedział i natychmiast ją puścił, ale zdążył poczuć dreszcz, który nią wstrząsnął.

Uznał, że May zmarzła, więc zdjął marynarkę i zarzucił ją na jej ramiona.

- Jestem cała w błocie - zaprotestowała, próbując zdjąć marynarkę wolną ręką. Ale wtedy znów się skrzywiła, tym razem pod wpływem bólu, który przeszył jej łokieć.

Adam poprawił marynarkę na jej ramionach.

- Zmarzłaś - skonstatował - a ja i tak muszę wyczyścić ten garnitur.

Unikając wzroku Adama, popatrzyła na jego spodnie, ale to nie plamy z błota zwróciły jej uwagę. Adam zawsze był wysoki, ale teraz w dobrze skrojonych spodniach wyglądał wyjątkowo elegancko.

- Przyślij mi rachunek z pralni.

- Potrzebuję cię, May. Ciebie, nie twoich pieniędzy.

Jako nastolatka żyła tylko po to, by usłyszeć te słowa.

- W tej chwili to niemożliwe.

- Słyszałem o twoim dziadku - dodał, najwyraźniej zakładając, że May ma na myśli żałobę.

- Naprawdę?

- W gazecie była notatka, że pogrzeb jest prywatny.

- Owszem. - Nie zniosłaby, gdyby zrobiono z tego przedstawienie. I dlaczego Adam miałby przyjść pomodlić się nad trumną człowieka, który miał go za nic? - Będzie msza poświęcona jego pamięci. Zapisał sporo różnym organizacjom charytatywnym i pewnie one teraz liczą na to, że uroczyste pożegnanie dziadka zachęci innych do sypnięcia groszem. Na pewno otrzymasz zaproszenie. - Zanim odpowiedział, potrząsnęła głową. - Przepraszam, to było nieuprzejme.

Ale tak niewiele osób robiło coś więcej poza składaniem grzecznościowych wizyt po wylewie, na skutek którego jej dziadek został częściowo sparalizowany. Wątpiła zresztą, by dziadek chciał być widziany w tym stanie.

- On tak źle się czuł ze swoją bezradnością. Z brakiem pamięci.

- Był wspaniałym człowiekiem. Pewnie ci go brak.

- Straciłam go już dawno. - Na długo zanim stracił pamięć.

- I co teraz? - spytał po chwili ciszy. - Sprzedasz dom? Pewnie wymaga remontu, ale lokalizacja jest idealna na biura.

- Nie! - Wiedziała, że dom stoi zbyt blisko centrum, a ziemi jest za mało, by trafił się zamożny kupiec, ale myśl, żeby zamienić go na biura, była nieznośna.

- To może hotel albo dom spokojnej starości - podpowiedział, najwyraźniej rozumiejąc jej reakcję. - Dostaniesz za niego dobrą cenę.

- Tak, ale go nie sprzedam.

- Masz w najbliższej przyszłości dość rezerwacji od malarzy, projektantów ogrodów i kwiaciarzy?

May spojrzała na niego zdziwiona, że wie o kursach z zakwaterowaniem, które u siebie organizowała.

- Twoja ulotka wisi na tablicy w naszym biurze.

- Aha. - Którejś niedzieli obeszła miasto, wrzucając ulotki do skrzynek pocztowych. Zawahała się, czy zostawić jedną w jego skrzynce, ale w końcu zdecydowała, że poważny prezes nie zainteresuje się takim głupstwem. - Dzięki.

- To nie moja zasługa - odparł. - Jedna z recepcjonistek nie przestaje wychwalać kursu projektowania ogrodów, w którym brała udział.

- Cieszę się. - No i znów ten problem z oddychaniem. - Jest popularny, chociaż wszystkie są w zasadzie obłożone. W tej chwili mam komplet na dwudniowym kursie świątecznym.

Lepiej przekaże Robbie złe wieści, kiedy już wszyscy wyjadą. Zresztą do tej pory i tak nie tak będą miały czasu porozmawiać.

- Nie słyszę radości w twoim głosie - zauważył.

- No nie. - Wzruszyła ramionami. Potem, świadoma, że Adam czeka na wyjaśnienie, dodała: - Cały weekend spędzę przy telefonie, odwołując przyszłoroczny program.

Zawiedzie tych wszystkich wspaniałych wykładowców, którzy prowadzili kursy, wielu z nich zostało jej przyjaciółmi. Zawiedzie ludzi, którzy chcieli wziąć udział w kursach, wielu z nich nie po raz pierwszy, którzy niecierpliwie czekali na to, by na chwilę wyrwać się z domu i spędzić czas z osobami o podobnych zainteresowaniach.

No i jest jeszcze zlecenie stałe na jej własną działalność. Domowy wyrób słodczy, krówek i toffi. I mała pasieka.

- Odwołujesz kursy? - Adam ściągnął brwi. - Chcesz powiedzieć, że dziadek nie zapisał ci domu?

Znad jeziora powiało chłodem. May zadrżała.

- Tak. To znaczy nie... Zapisał mi dom, ale pod pewnymi warunkami.

Jej dziadek znał te warunki, ale przed wylewem, który pozbawił go w dużym stopniu pamięci, nie uznał za stosowne poinformować jej o nich. Zresztą czemu miałyby to

robić? Zdawało się, że mają mnóstwo czasu. Próbował ją wyswatać z Michaeliem Lintonem, starszym od niej, solidnym człowiekiem szukającym wyznającej tradycyjne wartości kobiety, która prowadziłaby mu dom i urodziła dzieci. Za takiego mężczyznę dziadek chciał też wydać jej matkę.

- Jakie to warunki? - zapytał Adam.

- Takie, których nie spełniam - odparła gwałtownie.

Chciała zmienić temat, tak jak on chwilę wcześniej.

Ten poranek był dość szokujący bez dzielenia się z Adamem informacją, że Freddie Jennings przeoczył pewną klauzulę, gdy odczytywał testament dziadka po pogrzebie. Na szczęście dotarli już do niewielkiej bramy, która prowadziła z parku do ogrodu jej rodzinnego domu. May, w jednej ręce trzymając kota, drugą niezdarnie szukała w torebce kluczy. Niestety po tak pełnym wrażeń poranku ręce jej drżały i upuściła klucze. Adam podniósł je bez słowa, otworzył bramę, a potem, biorąc ją za rękę, skierował wózek na tyły jej domu.

May zatrzymała się w sieni i z lodówki, gdzie trzymała jedzenie dla zwierząt, wyjęła mleko i naląła kotu na spodek. Kociak wdepnął w spodek i pił łapczywie, podczas gdy May wyłożyła kartonowe pudełko polarem, który nosiła do prac w ogrodzie. Dopiero kiedy kot ułożył się wygodnie, May zajęła się własnymi sprawami.

Jej zakiet miał dużą moką plamę, a spódnica była zabłocona. No cóż, pozostaje tylko pralnia. Rozpięła spódnice, a gdy ta opadła na podłogę, kopnęła ją do kąta. Adam odchrząknął, przypominając jej, że wciąż tam jest, jakby tego nie czuła każdą komórką swojego ciała.

- Robbie mnie zabije, jak nabrudzę w domu - oznajmiła, zdejmując podarte rajstopy. Zmoczyła ręcznik i wytarła błoto ze stóp.

Kiedy Adam zdjął swoje zabłocone buty i zaczął rozpinać klamrę u paska, zapytała:

- Co robisz?

- Jeśli twoja Robbie zbliży się do mnie ze środkiem odkażającym, wolę, żeby była w dobrym humorze.

Ze wzrokiem skupionym na Nancie May weszła za nim do ciepłej kuchni. Adam powiesił spodnie koło pieca. Gdy z ogrodu dobiegł ich wybuch śmiechu, May podniosła wzrok.

Uczestnicy kursu szli podwórzem w stronę domu na południową przerwę.

- Herbatniki z płatkami owsianymi!

- Co?

Odwróciła się i zamrugała na widok Adama w szortach i skarpetkach.

- Będziemy mieć towarzystwo. - Wyciągnęła apteczkę. - Chodź - rzekła i szybkim krokiem ruszyła w kierunku schodów. - Weź Nancie!

Adam wniósł na górę wózek z dzieckiem i torbą. Z trudem łapał oddech.

- Wszystko w porządku? - zapytała May.

- Nie wygląda na taki ciężki. Powiesz mi, o co chodzi?

- Pojawienie się w mojej kuchni Adama Wavella bez spodni byłoby główną atrakcją tygodnia dla pań z kursu. Nie mogę ci zagwarantować, że są dyskretne.

- Główną atrakcją tygodnia? - Uniósł brwi.

- Największą atrakcją, jaką zwykle oferuję, jest nowy przepis. I choć to mało prawdopodobne, żeby któraś z nich zadzwoniła do redakcji „Celebrity”, możesz być pewny, że powiedziałyby o tym wszystkim swoim znajomym - oznajmiła. - Prędzej czy później ktoś doszedłby do wniosku, że ty plus dziecko to historia, która może przynieść trochę grosza.

Nieśmiały uśmiech Adama zniknął z jego twarzy.

- Co teraz? - zapytał. - Będziemy się ukrywać na schodach, dopóki sobie nie pójda?

- Nie ma potrzeby. - Otworzyła drzwi, za którymi ukazał się korytarz w kształcie litery L. - Chodź, przemyję ci rękę, a ty się módl, żeby Nancie nie obudziła się i nie zaczęła płakać.

Nancie, jak na zawołanie, otworzyła niewiarygodnie ciemne oczy. May wepchnęła Adamowi do rąk pudełko z apteczką.

- Cii, maleńka - powiedziała, wyjmując dziewczynkę z wózka.

Adam ruszył za nią do pokoju, który niegdyś był pokojem dziecinnym.

Kiedy May była już za duża na nianię, przeniosła się do jej pokoju, przy którym znajdowała się łazienka i mała kuchnia, pokój dziecienny zaś zamieniła w coś, co nazywała raczej pokojem dziennym niż gabinetem, i gdzie odrabiała lekcje przy stole zamiast przy biurku.

Dziadek zniechęcał ją do pójścia na uniwersytet, bo musiałyby wyjechać i jeszcze „nakładliby jej do głowy bzdur”, jak mawiał. Prawdą było też, że May nie odziedziczyła zdolności swojej matki i w szkole nie czuła się dobrze, po co zatem miałyby przedłużać to nieszczęście?

Kiedy zajęła się prowadzeniem domu, korzystała z eleganckiego małego biurka babki, które stało w jej pokoju. Jej działalność wymagała jednak porządnego biura, więc przystosowała do tego celu jedną z dawnych spiżarni, a ten pokój stał się jej azylem, gdy dom wypełniali goście.

- Zamknij drzwi - powiedziała, gdy Adam wepchnął do pokoju wózek. - Kiedy znajdą się w oranżerii i zaczną rozmawiać przy kawie, nie usłyszą Nancie, nawet gdyby zaczęła krzyczeć.

Na razie dziewczynka wtuliła się w ramię May, lecz May podejrzewała, że to nie potrwa długo.

- Łazienka jest tam. Zmyj błoto, a ja zdezynfekuję ci rękę.

- A ty?

- Zaczekam.

- Nie, Bóg jeden wie, jakie brudy są w tym błocie - odparł i nie pytając May o zdanie, ujął jej wolną rękę i pociągnął ją do łazienki. - Szczepisz się na tęzec?

- Tak. - Była znakomicie zorganizowana, jeśli chodzi o szczegóły. U Coleridge'ów to cecha rodzinna. Kolejny powód, by wierzyć, że dziadek o niczym nie zapomniał, tylko celowo zachował testament w określonym kształcie.

Czy jej matka wiedziała o testamencie? Czy dziadek groził jej wydziedziczeniem?

- A ty? - zapytała.

- Chyba tak. Płacę mojemu asystentowi wystarczająco dużo, żeby pamiętał o takich sprawach. - Odkręcił kurek i sprawdził temperaturę wody.

- To mężczyzna? - spytała May, która wyobrażałaby sobie raczej piękną kobietę w modnym kostiumie i na wysokich obcasach.

- Nie za gorąca?

May włożyła palec pod strumień wody.

- Nie, dobra - odparła, sięgając po mydło. - To teraz jest przyjęte? Asystent mężczyzna?

- W mojej firmie wszyscy mają równe szanse. Jake był najlepszy spośród tych, którzy starali się o tę pracę, i rzeczywiście jest skuteczny. Jeśli zechcę go zatrzymać, będę musiał go awansować. Poczekaj - powiedział. - Nie możesz tego robić jedną ręką.

May sądziła, że Adam zabierze jej Nancie, on tymczasem podwinął rękawy koszuli i wziął od niej mydło.

- Nie - zaprotestowała, ale trzymając Nancie, niewiele mogła zrobić, a on już stanął za nią, wyciągnął ręce, namydlił dłonie i zaczął delikatnie myć jej podrapaną rękę.

- Kiedy ostatnio ktoś mył mi ręce, miałam chyba sześć lat - powiedziała, by odwrócić uwagę od zmysłowych ruchów Adama, jego ciała, które ogrzewało jej plecy, jego brody wspartej na jej ramieniu.

- Sześć? - powtórzył, jakby był nieświadomy jej konsternacji. - Co się wtedy stało? Spadłaś z kucyka?

- Z roweru. Nigdy nie miałam kucyka. - Zdarła sobie wówczas kolana i wtulała twarz w fartuch Robbie. Robbie piekła ciasto i kuchnia pachniała cynamonem oraz jabłkami, kiedy Robbie przemywała jej rany i pocieszała ją.

Tego dnia przy policzku czuła tylko chłodny policzek Adama pokryty lekkim zarostem, ale nie dawało jej to poczucia bezpieczeństwa. Dotyk Adama kojarzyła z deszczem, sercem, które wali ze strachu, podnieceniem, żalną radością, po której następuje zażenowanie, rozpaczą wywołaną beznadziejnością jej marzeń.

Tego dnia nie padało, zmieszane zapachy czystej skóry i szamponu były niezaprzeczalnie męskie, a dotyk Adama przyprawiał ją o dreszcze, jakich nie znała nastolatka ze złamanym sercem. Adam, niczego nieświadomy, wyjął z apteczki antyseptyczną chusteczkę i dokończył dzieło.

- A teraz obejrzymy twój łokieć.

- Łokieć?

- Masz krew na rękawie.

- Tak? - Wyciągała szyję, by zobaczyć plamę z błota i krwi, której nie spiorą żadne detergenty. Adam zaczął zdejmować jej bluzkę. Tym razem palce mu nie drżały przy odpinaniu guzików. May spróbowała zaprotestować.

- Au! To boli.

Stała w samej bieliźnie, a on patrzył na jej łokieć? Okej, bielizna była koronkowa, ale dość skromna. Jednak nawet jeśli nie była to czarna koronka, która zatrzymałaby ruch na autostradzie, Adam powinien przynajmniej zauważyć, że była prawie naga.

- Może cię zapiec - oznajmił, skupiony na jej łokciu.

Powinno zapiec, może nawet zapiekło, lecz May nie czuła bólu, tylko jakieś ciepło rozchodzące się po całym ciele. Cicho jęknęła.

- Boli? - zapytał Adam, podnosząc wzrok. - Może powinnaś pojechać do szpitala, zrobić prześwietlenie.

- Nie - odparła szybko. - Nic mi nie jest.

Skłamała. To upokarzające tak reagować na mężczyznę, który, gdy spotykali się w miejscach publicznych, robił wszystko, by trzymać się od niej z daleka.

Nie brakowało mu fantastycznych kobiet, które go ogrzewały w nocy. Takich, które nosiły piękne buty i bieliznę dla niegrzecznych dziewczynek. Ona należała do tych, które raczej noszą kalosze. Miała ładną cerę oraz zęby i dość ładne ciemne oczy. Niczym więcej nie mogła się pochwalić. Niczym, co przyciągnęłoby uwagę mężczyzny, który teraz miał już wszystko.

- Zostanie ci spora blizna - rzekł, przyłapując ją na tym, jak na niego patrzy.

- Przeżyję.

- Tym razem. Może jednak powinnaś rozważyć, czy nie zrezygnować ze wspinania się na drzewa. - Zdjął z wieszaka ręcznik i delikatnie osuszył jej rękę.

- Wciąż sobie to powtarzam - odparła. - Ale wiesz, jak jest. Jakieś biedne stworzenie potrzebuje pomocy, a oprócz ciebie nikogo tam nie ma.

- Dam ci numer mojej komórki. - Wyjął drugą chusteczkę i przetarł nią jej łokieć. Kolejną chusteczką zdezynfekował swoją rękę. - Następnym razem - spojrzał na nią z uśmiechem - zadzwoń do mnie.

- Mówiłeś, że jedziesz do Ameryki Południowej.

- Nie ma sprawy. Po to mam osobistego asystenta. Ty dzwonisz do mnie, ja do Jake'a, a on rusza ci na ratunek.

- Nie byłoby prościej, gdybyś dał mi jego numer?

- Nie miałybyś okazji wyładować na mnie złości. Jak mógłbym stracić taką zabawę?

No tak, zapomniała. Ona przypomina kłowna...

- Mam całe nogi w błocie. Muszę wziąć prysznic - oznajmiła. Poza tym musi się ubrać i opanować. - W kuchence jest czajnik, jeśli chcesz się czegoś napić.

Nie dała mu szansy na odpowiedź, tylko podała mu Nancie, wypchnęła go z łazienki i zamknęła drzwi.

Nie mogła ich zamknąć na klucz, bo zamek zepsuł się lata temu, a jej nie zależało na tym, by go naprawić. W końcu mieszkała tam tylko z niepełnosprawnym dziadkiem i Robbie, a żadne z nich nie zaskoczyłoby jej pod prysznicem.

Zresztą Adam też do niej nie zajrzy. Wrzuciła brudną bluzkę do kosza, zdjęła bieleznię i weszła do kabiny. Powinna wziąć zimny prysznic, który schłodziłby jej gorącą skórę. Ponieważ jednak było oczywiste, że nawet jak skończy dziewięćdziesiąt lat, Adam Wavell będzie na nią tak samo działał, postanowiła nie myśleć o bólu i zwiększyła temperaturę wody.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy drzwi łazienki zamknęły się za May, Adam wziął głęboki oddech. Z upływem czasu gniew nie mija, ale to samo dotyczy pożądania. Może są ze sobą ściśle powiązane. Kiedyś nie był dla May dość dobry. Potem, choć odniósł sukces, May przy każdej okazji dawała mu do zrozumienia, że to się nie zmieni.

Jednak od zerwanych zaręczyn w jej życiu nie było innego mężczyzny. Nie poszła na uniwersytet, nigdy nie pracowała na etacie, straciła lata młodzieńczej beztroski, kiedy większość jej rówieśniczek bawi się modą, chodzi do klubów, zakochuje się i odkochuje.

May została w Domu Coleridge'ów, by zajmować się jego prowadzeniem, zupełnie jak jakaś edwardiańska panna, która odliczała czas, aż ktoś ją poślubi, a wtedy będzie robiła to samo w domu męża. I tak jak dobra edwardiańska panna, bez wahania zrezygnowała z doskonale zapowiadającego się małżeństwa, by zaopiekować się dziadkiem po jego wylewie. Myślała i zachowywała się tak jak kobiety sto lat wcześniej.

Według recepcjonistki, która wychwalała jej kursy, May potrzebowała kogoś, kto pomógłby jej zrzucić trochę wagi i zacząć żyć, nim zamieni się w przedwcześnie postarzałą starą panne, i tylko jej zwierzęta będą ją grzać w nocy.

Ale recepcjonistka nie widziała May w bieliźnie, bo wtedy wiedziałyby, że jej uda, zgrabne łydki i najładniejsze kostki, jakie Adam miał okazję podziwiać, wchodząc za nią na górę, nie mają nic wspólnego z wiekiem średnim. Był pierwszym chłopakiem, który dostał szansę zobaczyć jej kuszące krągłości, które wyszły z mody jakieś pół wieku temu, wraz z Twiggy i swingującymi latami sześćdziesiątymi.

Kiedy rozpiął jej bluzkę - alternatywą było odebranie jej Nancie, co nie wchodziło w rachubę, bo chciał, żeby czuła ciepło wtulonego w nią dziecka - odkrył, że ma kiepską pamięć. Miał przed sobą piersi, które nie wymagały wsparcia silikonem ani dobrze skonstruowanego stanika. Pełne, dojrzałe jak brzoskwinie, które wypełniają męską dłoń, o skórze gładkiej i białej jak śmietana.

May nie musi zrzucić wagi. Ani grama.

May z radością stałaby pod prysznicem, czekając, aż ciepła woda zmyje z niej przykre doświadczenia tego poranka, ale ponieważ sama woda nie ma takiej mocy, za-

dowoliła się cytrynowym żelem do kąpieli, który szybko splukała, po czym owinęła się ręcznikiem.

Na pozór się rozgrzała, ale w środku wciąż dygotała. To skutek szoku, jakiego doznała u prawnika, a potem na widok Adama Wavella.

Powinna z niego wyrosnąć, jak wyrasta się z dziecięcych fałdek tłuszczu. Tymczasem jej fałdki okazały się tak odporne jak jej żalosne zauroczenie chłopcem, który był poza jej zasięgiem. Równie dobrze mógłby być istotą z innej galaktyki. Marzyła, by jej pragnął, lecz sekret ten znał tylko jej pamiętnik. Uważaj, o czym marzysz, ostrzegła ją Robbie, i miała rację, jak zresztą we wszystkim.

Teraz Adam jej potrzebuje, ale tylko po to, by zaopiekowała się dzieckiem Saffy. Wytarła się, a potem włożyła długi szlafrok. Jak na jeden dzień, pokazała mu wystarczająco dużo nagiego ciała.

Nie musiała się jednak obawiać. Adam wziął Nancie do pokoju i zamknął drzwi. Najwyraźniej na dziś dość się naoglądał.

May zignorowała ciemnozłotą sztruksową spódnicę, którą kupiła wieki temu na wyprzedazy i której nigdy nie nosiła, po czym wciągnęła najobrzydliwsze sportowe spodnie i bluzę, jakie posiadała. Nie ma sensu konkurować z kobietami, z którymi Adam obecnie się spotyka. Smukłymi i olśniewającymi.

Ona miała więcej wspólnego z kucem szetlandzkim, małym, nieco otyłym kłownem z kudłatą grzywą. Naprawdę żalosne było to, że niezależnie od tej świadomości, May wiedziała, że zaopiekuje się śliczną córką Saffy, wdzięczna losowi za to, że może być blisko Adama choć przez tydzień czy dwa, podczas gdy matka dziewczynki będzie zajęta tym, co zawsze. Czyli według opinii większości będzie się źle prowadziła, a tak naprawdę będzie korzystała z życia.

Nancie marudziła wtulona w ramię Adama, który instynktownie zaczął chodzić z nią po pokoju. Przyglądał się obrazom na ścianach, książkom na półkach. Wziął do ręki niewielki oprawiony w skórę tomik, który leżał na stoliku, jakby May zawsze chciała go mieć pod ręką.

Sonety Szekspira. Kiedy je odkładał na miejsce, pomiędzy stronic wypadł zaszuszoną płatek róży. Gdy się pochylił i go podniósł, na palcach został mu czerwony pył.

Przypomniaws sobie bukiet czerwonych róż, który w samym środku zimy kosztował go fortunę. Zarobił na niego, ciężko pracując na targu przed lekcjami.

Podszedł do oprawionych w srebrne ramki fotografii. Byli na nich dziadkowie May oraz jej matka w dniu ukończenia szkoły. Wziął do ręki zdjęcie May, na którym miała pięć albo sześć lat i trzymała kotka. Niezależnie od koszmarne go poranka, jaki miał za sobą, uśmiechnął się pod nosem.

Jego wciąż traktowała chłodno, za to stale była gotowa nadstawić karku dla kota. Każde stworzenie w kłopotach doczekałoby się takiej samej reakcji z jej strony, czy to ptak, który topił się w rynnie, czy kot na drzewie.

May była jednym z tych niskich grubych dzieci, które nie należą do żadnej grupy. Dzieciaki bały się, że ktoś ich zobaczy, jak podlizują się tej dziewczynce z dużego domu, żeby się z nią zaprzyjaźnić. Powinna była chodzić do prywatnej szkoły, gdzie uczniowie noszą drogie mundurki z taką miną, jakby to były ciuchy od najlepszych projektantów. Tymczasem posłano ją do miejscowej podstawówki.

Jej rodzinę stać było na prywatną szkołę. Jednak utalentowana matka May, mogąc korzystać z przywilejów należnych jej z racji urodzenia, odwróciła się plecami do swojej klasy i została walczącą feministką. Publicznie napiętnowała elitaryzm. Zmarła w gorączce, rodząc May w biednym, źle wyposażonym szpitalu w Trzecim Świecie, nie ujawniając tożsamości ojca dziecka.

Gdyby jej matka żyła, myślał Adam, May mogłaby zbuntować się z kolei przeciwko jej zasadom, domagać się swojego prawa do prywatnej edukacji. Ale jak mogła się buntować przeciw komuś, kto zmarł, dając jej życie?

Podobnie jak matka, May uparcie trwała przy swoim, nie ulegając wpływom grupy rówieśniczej. Posługiwała się idealną angielszczyzną, nie nosiła podkaszanej spódnicy i nie związywała się szkolnym krawatem jak paskiem. Nie stała się jedną z nich, anonimową uczennicą, bo to byłaby zdrada jej tożsamości.

To właśnie przyciągnęło do niej Adama. On wyróżniał się spuszczoną głową. Liczył na to, że w ten sposób uniknie kłopotów, i podziwiał cichą konsekwencję May. To, że w każdej sytuacji najpierw działała, a potem myślała. Przez co zresztą wciąż pakowali się w kłopoty.

Nancie uznała, że potrzebuje czegoś bardziej konkretnego niż noszenie na rękach i uciszanie słowne, otworzyła usteczka, z których wydobył się głośny krzyk. Adam odłożył zdjęcie i zawołał May. Gdy odpowiedziało mu milczenie, zapukał do sypialni.

- Pomocy! - Cisza. - May? - Uchylił nieco drzwi, a ponieważ nikt na niego nie wrzasnął, otworzył je na oścież.

Pokój, bardzo kobiecy i cały w bieli, go zaskoczył. Wyobrażał sobie, że ściany sypialni May będą oklejone zdjęciami zagrożonych gatunków zwierząt. Jedynym obrazem, jaki tutaj wisiał, była akwarela przedstawiająca Dom Coleridge'ów, gdy był jeszcze otoczony hektarami parku. Czy miał jej przypominać, kim jest?

Powinien poczuć satysfakcję, że dane mu było zajrzeć do jej sanktuarium. Tymczasem patrząc na ten obraz, poczuł się jak intruz.

May otworzyła drzwi pokoju dziadka. Wciąż tak o nim myślała, choć dziadek dawno temu przeniósł się do pokoju na parterze, który dla niego przysposobiła.

- May?

Podskoczyła na dźwięk głosu Adama.

- Wybacz, nie chciałem cię przestraszyć, ale Nancie zaczęła płakać.

- Może trzeba jej zmienić pieluszkę albo ją nakarmić.

Adam bezradnie wzruszył ramionami.

- O ile wiem, obie te czynności wykonuje się regularnie. - Odwróciła się do szafy, skąd wyjęła jedwabny szlafrok dziadka i podała go Adamowi. - Włóż to, zanim zejdziesz po spodnie. - Potem zdała sobie sprawę, że nie mógł włożyć szlafroka, trzymając dziecko.

Nancie była miękka, ciepła, taka miła, kiedy oparła główkę na ramieniu May. Tylko lekko wilgotna w pewnym miejscu.

- Trzeba zmienić pieluchę - oznajmiła May.

- Tak - odparł, zawiązując pasek.

Wyglądał lepiej niż każdy inny mężczyzna w szlafroku, choć szlafrok był dla niego za wąski w ramionach, za szeroki w pasie i o wiele za krótki.

- Wiedziałeś!

- Do tego nie trzeba kończyć uniwersytetu - odrzekł, rozglądając się. - To był pokój dziadka.

To nie było pytanie, a ona nie odpowiedziała. Pewnie powinna wykorzystać tę sypialnię dla gości przyjeżdżających na weekendowe kursy, ale jakoś nie mogła się do tego zmusić. Dopóki dziadek żył, to był jego pokój, i wciąż wyglądał tak, jakby dziadek wyszedł tylko na przechadzkę do parku w drodze na lunch z przyjaciółmi.

Wiekowe meble błyszcząły. Na łóżku leżała czysta pościel, ulubiona kołdra dziadka ułożona tak, jak lubił. Róża, którą Robbie postawiła na toalecie, lśniła w słabym słońcu.

- Robi wrażenie.

- Jak powiedziałaś, dziadek był człowiekiem godnym podziwu - zauważyła, ruszając do swojego pokoju, a jemu zostawiła decyzję, czy za nią pójdzie, czy też nie.

Adam pospieszył za May.

- Musisz się nauczyć zmieniać pieluszki - stwierdziła, biorąc z łazienki czysty ręcznik i podając go Adamowi.

Bez słowa rozłożył go na łóżku. May położyła Nancie na ręczniku, a dziewczynka natychmiast zaczęła popłakiwać.

- Pilnuj jej - powiedziała, walcząc z pragnieniem, by przytulić dziecko. - Wezmę jej torbę.

Ignorując jego „Tak, proszę pani”, zdjęła torbę Nancie z wózka, otworzyła ją i znalazła paczkę pieluch.

- Jak to się robi? - Patrzył na pieluchę, na dziecko, a potem znów na May. - Żartujesz, prawda? - May trzymała pieluchę w wyciągniętej ręce, więc w końcu ją wziął. - Okej, co dalej?

- Na jakiej podstawie uważasz, że wiem coś na temat przewijania dzieci? Jeśli odpowiesz, że jestem kobietą, zostawię cię z tym samego.

Adam, który właśnie te słowa miał na końcu języka, zmienił zdanie. Myślał, że będzie miał problem z dostaniem się do tego domu, ale to okazało się akurat proste. Za to teraz, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że May zawsze roztaczała opiekę nad bezbronnymi istotami, spotkał się z jej strony z oporem, jakiego się nie spodziewał.

- Naprawdę nie masz pojęcia, jak się zajmować dziećmi?

- Rozejrzyj się, Adamie. Ostatnim dzieckiem, które mieszkało w tym pokoju, byłam ja.

- To był twój pokój? - Spojrzał na łóżko z koronkową narzutą, bladoniebieski dywan i koronkowe firanki dekorujące okno, przy którym May stała i patrzyła na to, jak jej wspaniały dziadek go poniża.

- To był pokój niani - odparła. - Pokój dziecienny był tam.

- Szczęśliwa niania. - Pokój z łazienką był niemal tak duży jak mieszkanie, w którym się wychował.

May nie wyjaśniła mu, że dziadek urządził jej ten pokój, gdy miała piętnaście lat. Odzwierciedlał romantyczne usposobienie nastolatki, którą była, a nie rzeczowej kobiety, jaką się później stała.

- Jak powiedziałam - podjęła - ostatnim dzieckiem zajmującym ten pokój byłam ja, a jedynacy nie mają bratanków ani siostrzeńców, na których mogliby praktykować. - Po chwili, uznając, że te słowa już do niego dotarły, dodała: - Chyba musisz zacząć od rozpięcia śpiochów.

- Racja. - Spojrzał na pieluchę, a potem na dziecko. Ostatecznie uznał, że zmieni plan, że najlepiej będzie udowodnić swój brak kompetencji i poczekać, aż May przejmie od niego to zadanie.

Zabrał się do odpinania zatrzasków, a Nancie, myśląc, że to zabawa, machała rękami i nogami. Może go nie lubi? Zamiast się zdenerwować, zaśmiał się, jakby nagle sobie uświadomił, że dziecko nie jest tylko irytującym ciężarem, ale małym człowiekiem.

- Daj spokój - prosił. - Jestem facetem. Pierwszy raz to robię.

Może to dźwięk jego głosu tak podziałał, bo Nancie się uspokoiła i zaczęła patrzeć na niego dużymi ciemnymi oczami, marszcząc w skupieniu maleńkie czoło, jakby usiłowała zgadnąć, kim on jest.

Jego dłonie były o wiele za duże do tej delikatnej pracy, a jednak nawet jeśli chciał udać niezdarne, szło mu nadzwyczaj dobrze. Poradził sobie z zatrzaskami, zdjął moką pieluszkę i w nagrodę dostał szeroki uśmiech.

- Dzięki, moja śliczna - powiedział czule.

Gdy się pochylił i pocałował ciemne loki, Nancie chwyciła go za włosy. May, patrząc na nich, dostrzegła ten moment, kiedy Adam zakochał się w swojej siostrzenicy. Wyobraziała go sobie z jego własnym dzieckiem.

Gardło miała tak ściśnięte, że ledwie wydusiła:

- Ja to zrobię. - Uwolniła go od brudnej pieluchy i wyszła do łazienki, by ją wyrzucić. Potem powoli myła ręce.

- Mam ją posmarować kremem? - zawołał Adam.

- Nie wiem - odparła, ściskając brzeg umywalki.

- Do dzieci powinna być doczepiona instrukcja obsługi. Masz tu na górze komputer?

- Co?

- Mógłbym sprawdzić w sieci.

- Och, na Boga! - Porzuciła bezpieczne schronienie w łazience i podeszła do łóżka.

- Jest sucha - stwierdziła, dotykając delikatnej skóry dziecka. - Weź czystą pieluchę... i poszukaj niani.

- Łatwo powiedzieć.

- Dam ci numer agencji, której można zaufać.

- Skąd go masz?

- Agencja Garland oferuje też pomoc w opiece nad chorymi. Przez ostatnie miesiące...

- Przepraszam, nie pomyślałem. - Wyjął czystą pieluchę i oglądał ją. - Z nianią też będą problemy. Mieszkam w lofcie, to otwarta przestrzeń. Nie ma gdzie umieścić dziecka ani niani.

- A inny problem?

Adam w skupieniu zakładał pieluchę.

- Powiedziałeś, że będą problemy.

Potrząsnął głową, a May, pełna podejrzeń, zapytała:

- Kiedy ostatnio widziałeś Saffy?

- Byłem zajęty - odrzekł - a ona mnie unikała. Wynająłem dla niej mieszkanie w Paryżu, ale właśnie się dowiedziałem, że się wyprowadziła. Podnajęła komuś to mieszkanie.

- Nie odwiedzasz jej regularnie?

- Wiesz, jak jest, May. Nie wiedziałem nawet, że była w ciąży.

- A ojciec dziecka? Kto to jest?

- Nazywa się Michel. To wszystko, co wiem.

- Biedna Saffy.

- Mogła się ze mną skontaktować.

- I co byś zrobił? Wysłałbyś jej czek?

- Tego zwykle oczekuje. Chyba nie sądzisz, że dzwoni zapytać, jak się czuję.

- Jesteś silny, ona nie. W jakim była stanie, kiedy zostawiła u ciebie dziecko?

- Umyję ręce.

May zatrzymała go.

- Co przede mną ukrywasz?

Wyjął z kieszeni złożoną kartkę i podał jej, po czym udał się do łazienki. Kartka wyglądała tak, jakby została zgnieciona, wrzucona do kosza na śmieci, po czym znów z niego wyciągnięta. May ją wygładziła i przeczytała.

- Saffy ucieka przed ojcem dziecka? - zapytała, podnosząc wzrok, gdy Adam wrócił do pokoju. - Gdzie zostawiła małą?

- Znalazłem ją w moim gabinecie, kiedy wyszedłem ze spotkania po jakieś dokumenty. Saffy wśliznęła się niepostrzeżenie. Nie straciła umiejętności, które opanowała, kradnąc w sklepach.

- Musiała być zdesperowana.

- Nie tak jak ja w tej chwili. Wiem, że nie podałaś mi ręki, ale Saffy napisała, że jej pomożesz.

- Ja... - zaczęła. - Oczywiście, że bym ci...

- Ale?

- Gdzie jest twoja matka? - zapytała.

- Po śmierci ojca przeniosła się do Hiszpanii.

- Pozbywasz się wszystkich? Co z oczu, to z serca?

Zacisnął wargi. Jej przytyk był bolesny. Adam kompletnie zmienił swoje życie, zostawił bardzo daleko za sobą koszmar swej rodziny. Saffy nie miała jego siły. Zasługiwała na coś więcej niż pieniądze na życie na obczyźnie. Wszystkie jej złe uczynki były krzykiem o uwagę, o miłość.

- Nie mogła uciec daleko.

- Z listu wynika co innego.

- Na pewno będzie chciała wiedzieć, czy dziecko jest bezpieczne. A ty?

- Ja?

- No ty, ty! - rzuciła gwałtownie, bo Adam był zbyt blisko, bo z trudem się powstrzymywała, by nie wziąć jego siostrzenicy w ramiona. Zamiast tego zaczęła zapinać jej śpiochy. - Nie możesz wziąć urlopu tacierzyńskiego?

- Nie jestem jej ojcem.

- No to po prostu urlopu. Korzystasz z urlopu?

- Kiedy nie da się tego uniknąć. - Potrząsnął głową. - Mówiłem ci, że jutro lecę do Ameryki.

- Nie możesz tego odłożyć?

- To nie jest tylko handlowa wycieczka. Tu w grę wchodzi także polityka, agencje rządowe. Mam spotkanie z prezydentem Samindery, które ustalaliśmy od miesiący.

- Więc odpowiedź brzmi nie.

- Tak. Albo mi pomożesz, albo będę miał kłopot.

- No to masz kłopot. - May podniosła Nancie i podała ją Adamowi. - Pomogłabym Saffy, gdybym mogła, ale...

- Ale nie przeszłabyś na drugą stronę ulicy, żeby pomóc mnie.

- Nie!

- Przeszłabyś na drugą stronę, byle ze mną nie rozmawiać. Ciekawe, czybym się tu znalazł, gdybyś nie utknęła na tym drzewie?

To jest niesprawiedliwe. Adam nie miał pojęcia, co dla niego zrobiła. Już prawie chciała mu to rzucić w twarz.

- Przepraszam. Pewnie uważasz, że to bezczelność z mojej strony, że w ogóle się do ciebie zwracam.

- Nie. Pomogłabym ci, ale mam własne kłopoty.

- Jakie? - Uniósł wolną rękę, by otrzeć łzę, która wymknęła się spod jej powieki. - Wybacz, May, trulem ci o swoich sprawach, zamiast cię wysłuchać. - Poglądził jej policzek. - Wspomniałaś coś o domu. O co chodzi? Może mógłbym pomóc.

May walczyła z pokusą, by rzucić się w ramiona Adama i opowiedzieć mu całą tę smutną historię. Ale została jej tylko duma, więc odwróciła się w stronę okna.

- Nie teraz - odparła chłodno. - To nie jest tak proste jak utknięcie na drzewie. Pannie z kursu wróciły już na zajęcia. Możesz bezpiecznie wyjść.

Zamiast to zrobić, Adam do niej podszedł.

- Potrafię rozwiązywać skomplikowane sprawy - odrzekł głosem łagodnym jak pieszczota.

- Z tego, co czytałam, masz w tym sporą praktykę - odparła, wbijając paznokcie w skórę dłoni. - Na pewno masz dobre intencje, ale nic nie da się zrobić.

- Spróbuj - zachęcał ją.

- Okej. - Odwróciła się do niego twarzą. - Jeśli masz pracę dla kogoś, kto potrafi przygotować jedzenie i mieszkanie dla około dwunastu osób, produkuje domowe krówki, potrafi się opiekować chorym, wydoić kozę, hodować pszczoły i naprawić kapryśną kosiarkę do trawy, to byłoby coś na początek - powiedziała w pośpiechu.

- Szukasz pracy? - Uniósł brwi z uśmiechem, jakby mógł jej to załatwić w ciągu paru minut. - Nic prostszego. Potrzebuję niani. Zapłacę sporo, jeśli zaczniesz od razu.

- To jest właśnie praca, do której nie mam kwalifikacji - odparła. - Ani pozwolenia.

- Pozwolenia?

- Nie jestem krewną Nancie. Bez odpowiedniego papierka to będzie nielegalne.

- A kto się dowie?

- Sugerujesz, żebym nie płaciła podatku? Myślisz, że nikt nie zauważy obecności dziecka? Ludzie cały czas się tu kręcą, wiadomość rozejdzie się lotem błyskawicy. Ktoś z opieki społecznej zaraz się tu zjawi. - Wzruszyła ramionami. - Oczywiście większość

ludzi uzna, że to moje dziecko. „Jest taka sama jak jej matka” - powiedziała z przekąsem, tonem, który słyszała setki razy, choć dotąd nigdy odnośnie do własnego zachowania.

- Masz rację - zgodził się. - Twoja opinia jest zbyt cenna, żeby narażać ją na szwank.

- Tego nie powiedziałam - zaprotestowała.

- Zapomnij o tym, May. Powinienem wiedzieć, że tak będzie. Ale myślałem, że między tobą i Saffy była jakaś więź. Nieważne. Zadzwonię na policję. Na pewno ojciec Nancie zgłosił jej zaginięcie i najlepiej będzie zostawić sprawę sadowi...

- Nie wolno ci tego robić! - oburzyła się. - Saffy ci zaufała. Wie, że ją z tego wyciągniesz.

- Tak? Przeczytaj jej list jeszcze raz, May.

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zapadła cisza. W końcu Adam się odezwał:

- Czy mam szansę na obiecaną kawę?

May się wzdrygnęła, wyrwana z zamyślenia.

- Co? Tak, wybacz. Jest tylko rozpuszczalna.

- Wszystko jedno.

Mała kuchnia była właściwie kącikiem kuchennym, za to wszystko było tu pod ręką. Po chwili May wróciła do niego z dwoma kubkami kawy.

- Wezmę koc, położysz Nancie na podłodze.

- Byłabyś tak dobra?

Nie odpowiedziała, tylko wyciągnęła koc z szafki, na chwilę przystając i nasłuchując. Przerwa w zajęciach dobiegła końca, ale na myśl o zejściu na dół i spotkaniu Robbie z Adamem ogarniało ją zniechęcenie.

Rozłożyła koc na podłodze w pokoju i położyła na nim Nancie. Przypomniała sobie, że w torbie widziała misia, więc wyjęła go i położyła obok dziewczynki.

- Wiem, pomyślisz, że mówię to specjalnie - rzekł Adam. May ścisnęła przed sobą kubek z kawą niczym tarczę. Usiadła obok niego na kanapie. - Ale naprawdę robisz to tak, jakbyś była do tego stworzona.

- A ja myślę, że unikasz powiedzenia mi prawdy.

- Wiem tyle, ile jest w liście Saffy. - Przeczesał palcami włosy. Nie wyglądał na pewnego siebie biznesmena, przypominał raczej chłopca, którego pamiętała. - Dzwoniłem do jej znajomych, ale nawet jeśli coś im powiedziała, oni milczą.

- A jej agent?

- Rozstali się kilka miesięcy temu. Kariera modelki była tylko kolejnym kaprysem Saffy.

May wzięła do ręki list i przeczytała go ponownie.

- To nie brzmi logicznie. Może Saffy cierpi na depresję poporodową? Ona zawsze miała wahania nastroju.

- A jeśli masz rację? Wtedy byś jej pomogła? - Potrząsnął głową, zanim odpowiedziała. - Przepraszam. To było nie fair, ale w tej chwili potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać. Kogoś, kto ją zna i nie będzie jej oceniać. Nie pobiegnie z tym do gazety.

- Do gazety?

- Coś takiego by mnie zniszczyło.

- Ciebie! Tylko to cię obchodzi? - zapytała ze złością. - Nie Saffy? Nie Nancie?

Przestraszona Nancie wypuściła z rąk misia i zaczęła płakać. May przyklęła i podała dziecku zabawkę.

- Agencja Garland ma oddział w Melchester - oznajmiła. - Zadzwoń do nich. Ciesz się świetną opinią, poza tym jestem pewna, że w cenę wliczona jest dyskrecja.

- Już mówiłem, że ten scenariusz pociąga za sobą liczne problemy. Będą chcieli poznać szczegóły. Gdzie jest jej matka, kim jest, jakie mam prawo do zajmowania się małą. Saffy uciekła z dzieckiem, May, wbrew zakazowi sądowemu.

- Nie domyślasz się, gdzie ona może być? Nie ma nikogo bliskiego?

- Gdyby ktoś mnie o to pytał, odparłbym, że w kłopotach zwróciłaby się do ciebie.

- Wlepił wzrok w swój kubek. - Dzwoniłem do niej parę miesięcy temu, kiedy w jednym z magazynów plotkarskich pisano o jej stanie zdrowia. Ktoś słyszał, jak wymiotuje i natychmiast wyciągnięto z tego wniosek, że cierpi na bulimię. Ale ona była pełna życia, właśnie biegła na zdjęcia. Tak mi przynajmniej powiedziała. - Wzruszył ramionami. - Bardzo jej było spieszno zakończyć rozmowę. Może zbyt łatwo przyjąłem jej zapewnienia, bo tak było wygodnie.

- W liście sprawia wrażenie przerażonej.

- Wiem. Prowadzę dyskretne śledztwo, ale dopóki nie dowiem się, kim jest ten Michel, nie oddam swojej siostrzenicy. Robię, co mogę, żeby znaleźć Saffy. Ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba, to żeby się podniosła wrzawa.

Odstawił kubek i przyklęknął obok May.

- Tym razem to ja wpadłem do rynny, Myszko, a leje jak z cebra. Nie uratujesz mnie?

- Chciałabym...

- Nie mam nikogo innego.

Niewypowiedziane „jesteś mi to winna” zawisło w powietrzu. May wiedziała, że podobnie jak ona, Adam pamięta tamtą straszną scenę, kiedy stał przed tylnymi drzwiami jej domu, blady jak ściana, ściskając bukiet róż. Nikt nie odpowiadał na jego pukanie, ale on stał tam do chwili, gdy jej dziadek przegonił go wężem ogrodowym.

To było tydzień przed Bożym Narodzeniem. Woda była lodowata. Adam, choć uciekł spod drzwi, stał w ogrodzie, w milczeniu patrząc na jej okno i drżąc na całym ciele, aż zapadła ciemność. May stała w tamtym oknie, rozdarta między dziadkiem i chłopcem, którego kochała. Przeciwstawiłaby się dziadkowi, tak jak jej matka, ale była jeszcze Saffy. Musiała też chronić Adama, więc dotrzymała obietnicy, którą na niej wymuszono, choć miała złamane serce. Nic mu nie jest winna, już po wielokroć zapłacała.

- Nie mogę - powiedziała, wstając. - Nie znam się na dzieciach lepiej od ciebie.

- Chyba oboje wiemy, że twoje doświadczenie w ratowaniu różnych nieudaczników stawia cię na pierwszym miejscu.

- Nancie nie jest nieudacznikiem - odparła z rozpaczą w głosie. Dlaczego on nie daje jej spokoju? Na pewno jest co najmniej tuzin kobiet, które bardzo chętnie by mu pomogły. Dlaczego wybrał akurat ją? - A nawet gdyby była, i tak nie mogę nic zrobić.

Musi jeszcze znaleźć dom dla swojej rodziny nieudaczników. Nie ma wielkiego zapotrzebowania na koty o trzech łapach czy ślepe kaczki. No a są jeszcze kurczęta, Jack i Dolly, pszczoły. Wątpiła, by osła czy starą kozę uznano za cenne aktywa dla narodowego skarbcza.

- Czemu, May? - On także wstał, ale trzymał się na dystans. Nie musiała na niego patrzeć, by wiedzieć, że ściągnął brwi. - Powiedz mi, może ci pomogę.

- Nie możesz mi pomóc - odparła. Nancie chwyciła ją za palec, a ona uniosła jej rączkę do ust i pocałowała. - Nikt nie może mi pomóc.

A ponieważ stało się oczywiste, że Adam się nie podda, dopóki mu wszystkiego nie wyjaśni, przedstawiła mu swoją sytuację. Przez chwilę milczał. Wiedziała, że powtarza sobie w głowie jej słowa. Tak jak ona dziś rano powtarzała sobie słowa Freddiego. Adam przypuszczał, że chodzi o problemy finansowe, o podatek spadkowy. Mimo złej sytuacji na rynku dom był wart masę pieniędzy i urzędowi skarbowemu trzeba by wiele zapłacić, by dom zatrzymać.

- Musisz wyjść za mąż do końca miesiąca albo stracisz dom? - Chciał mieć pewność, czy dobrze ją zrozumiał.

May kiwnęła głową. Za nic by mu tego nie wyjawiała, gdyby nie jego upór. Oznajmiła mu, że nie może mu pomóc, a on był tak zaabsorbowany swoim zmartwieniem, że wcale jej nie słuchał. Teraz już ją usłyszał. W jego głowie pojawiła się tylko jedna myśl: że los pchnął ją w jego ręce. Że teraz jej przyszłość zależy od niego, tego samego chłopaka, który nie był dość dobry dla dziewczyny z Domu Coleridge'ów.

Wkrótce posiadzie May Coleridge w eleganckiej pościeli na łóżku z baldachimem, które należało do jej dziadka, i będzie wyobrażał sobie, jak ten stary przewraca się w grobie.

- Dlaczego akurat do końca miesiąca? - zapytał spokojnie.

Nauczył się nie okazywać emocji.

- Drugiego grudnia mam urodziny.

Opowiadając mu o swoich problemach, stała do niego plecami, ale teraz się odwróciła. Kiedyś też tak na niego patrzyła - miała bursztynowe oczy, a jej wargi drżały z podniecenia. Wciąż czuł ich smak.

Lubił ją, i to bardzo. Miała charakter, była odważna i mimo wszystko wiele ich łączyło. Bardzo lubił przebywać w zaciszu pięknych ogrodów Domu Coleridge'ów, w stajniach, gdzie trzymała zwierzęta. Wszystko tam było takie czyste i uporządkowane.

Podobało mu się, że May miała swój własny dzbanek do parzenia kawy, że w metalowym pudełku zawsze było domowe ciasto. Lubił tę dzieloną z nią tajemnicę. Nikt prócz niej nie wiedział, że on tam jest. Ani dziadek, ani jego rodzina. Jej dom tak bardzo różnił się od koszmaru jego rodzinnego domu. Ale ratowanie potrzebujących pomocy zwierząt i pomaganie jej w opiece nad nimi to jedno. May nie była dziewczyną, z którą każdy chłopak chciałby pójść na szkolną dyskotekę, nawet taki, któremu nie zależało na akceptacji rówieśników.

Ich spotkania nie były jednak tak sekretne, jak mu się wydawało. Jego siostra, ciekawa, gdzie Adam znika, śledziła go, a potem szantażowała, żeby zaprosił May na szkolną dyskotekę. Było tak strasznie, jak sobie wyobrażał. Wszystkie dziewczyny miały na sobie obcisłe topy bez ramiączek i spódnice, które ledwie zakrywały biodra, May zaś

włożyła coś deprymująco statecznego i nawet się nie umalowała. Wstydział się jej, a zażenowany tym wstydem poprosił ją do tańca.

May nie potrafiła tańczyć. Dopiero kiedy trzymał ją blisko siebie, poszło im nieco lepiej. Jej włosy pachniały jak kwiaty po deszczu. Jej miękkie ciało go podnieciło i na powierzchnię wypłynęły wszystkie uczucia, które tłumiał.

Jej skóra była tak gładka, że chciał jej dotknąć, chciał ją całować. Jej oczy w przyćmionym świetle szkolnej sali gimnastycznej mówiły mu, że ona też go pragnie. Ale nie tam. Pobiegli do domu przez park. May otworzyła bramę, wdrapali się na strych stajni i trudno nawet powiedzieć, które z nich drżało bardziej. Nie ulegało wątpliwości, że to był pierwszy pocałunek May. Jego też w zasadzie pierwszy. Smak jej warg, ich słodycz, jej niezdarność, sprawiły, że poczuł się jak mocarz. Niezwyciężony.

- Musisz znaleźć męża do końca miesiąca? - wrócił do rzeczywistości, zostawiając myśli, które go rozpalały.

- Jest taki zapis - wyjaśniła. - Spadkobierca musi być zameżny czy żonaty przed ukończeniem trzydziestego roku życia albo dom przechodzi na własność państwa.

- On cię kontroluje nawet zza grobu - stwierdził.

Zaczerwieniła się ze złości.

- Nikt o tym nie wiedział.

- Nikt?

- Na skutek wylewu dziadek prawie stracił pamięć. Papiery zginęły, kiedy biura Jenningsów zostały kilka lat temu zalane...

- Chcesz powiedzieć, że nikt cię o tym nie uprzedził?

Pokręciła głową.

- Moja matka zmarła na długo przed trzydziestką. Uważała małżeństwo za przestarzałą patriarchalną instytucję. - Słowa uwięzły jej w gardle. Odwróciła się, by Adam nie widział jej łez, które zmieniały jej karmelowe oczy w płynne złoto, tak jak tamtej nocy, gdy dziadek odciągnął ją od niego, zarzucając swój płaszcz na jej ramiona. - Raczej wysłałaby ich do wszystkich diabłów, niż poszła na kompromis.

Adam starał się ukryć rosnące poczucie zwycięstwa. Ta kobieta, która od tamtego dnia do dziś wolałaby przejść na drugą stronę, niż minąć się z nim na ulicy, ma wkrótce

stracić wszystko. Jej dziadek, który uważał, że Adam nie jest godzien oddychać tym samym powietrzem co jego wnuczka, zostawił ją na jego łasce.

- A przed wylewem? Wtedy mógł ci powiedzieć.

- Po co? Byłam zaręczona z Michaelem, wyznaczaliśmy datę ślubu.

- Michael Linton. - Nie musiał szukać w pamięci. Widział ogłoszenie, Saffy wciąż o tym mówiła, rozdarła między zazdrością i niesmakiem.

Zazdrością, że May zostanie lady Linton i będzie miała duży wiejski majątek i dom w Londynie. Niesmakiem, że wychodzi za mężczyznę, który mógłby być jej ojcem.

- Dziadek to zaaranżował - twierdziła. - Uparł się, że wyda ją bezpiecznie za mąż, zanim May upodobni się do swojej matki i ucieknie z jakimś zerem, który da jej wycisk.

- Chciała powiedzieć więcej, ale ostatecznie zrezygnowała.

Potem dziadek May miał poważny wylew i ślub został odłożony. Po jakimś czasie Michael Linton ożenił się z inną kobietą.

- Dlaczego za niego nie wyszłaś?

- Michael upierał się, że dziadkowi będzie lepiej w domu opieki. Nie zgodziłam się z nim, ale on wciąż przynosił mi różne broszury, ciągał mnie po takich miejscach. Nie chciał mnie słuchać, więc w końcu oddałam mu pierścionek.

- A on go przyjął?

- Chciał mieć żonę, gospodynię, która będzie pasowała do jego życia. Nie chciał brać sobie na głowę inwalidy.

- Gdyby zauważył twój zwierzynek, wiedziałby, że jest na straconej pozycji.

Pokręciła głową, a gdy obejrzała się przez ramię, jej oczy błyszczały, policzki były mokre, ale wargi się uśmiechały.

- Michael nie przeskakiwał bramy do ogrodu, kiedy ogrodnik nie patrzył. On wchodził głównym wejściem.

- Chcesz powiedzieć, że nie kazałaś mu sprzątać po zwierzętach? - spytał i został nagrodzony jej rumieńcem.

- Nie sądziłam, że potrafiłby to docenić. Byłby przerażony, gdyby zobaczył, jak wspina się na drzewo, żeby uratować kota. Na szczęście przy nim taka sytuacja nie

miała miejsca. - Westchnęła. - Z tylnego siedzenia rolls-royce'a nie widać potrzebujących.

- Jego strata - zauważył ze ściśniętym gardłem.

- I moja, jak się zdaje.

- Byłabyś z nim nieszczęśliwa.

Potrząsnęła głową.

- Chyba nie zamierzasz tego tak zostawić? - zapytał. - Nie wierzę, że nie wygrałabyś w sądzie. Tabloidy miałyby nie lada gratkę, gdyby państwo zabrało ci dom.

- Wiele osób jest w gorszej sytuacji niż ja. Nie wiem, czy kampania mająca na celu uratowanie domu z piętnastoma pokojami dla jednej zepsutej kobiety i jej gosposi zyskałaby poklask.

Fakt. May należy do klasy uprzywilejowanej, jej los nie wzbudziłby współczucia.

- Czy tak powiedział Freddie Jennings? - zapytał.

- Freddie obiecał, że zasięgnie opinii, ale ponieważ dziadek miał kilka okazji, żeby usunąć tę klauzulę i tego nie zrobił, nie mam wielkich szans. - Uniosła bezradnie ramiona. - Zresztą nie mam pieniędzy na prawników. Muszę sprzedać wiele rzeczy, żeby zapłacić podatek spadkowy. Nawet gdybym wygrała, koszty byłyby tak wysokie, że musiałabym sprzedać dom, żeby je pokryć. A gdybym przegrała...

Gdyby przegrała, to oznaczałoby finansową katastrofę.

- Czyli jedynym powodem, dla którego nie możesz zaopiekować się Nancie, jest kłopot z domem? A gdybyś była mężatką, nie byłoby problemu? - Nie czekał na odpowiedź. - Czasu jest mało, ale da się to zrobić.

- O czym ty mówisz? - Zmarszczyła czoło.

- Wystarczy wizyta w urzędzie stanu cywilnego, szybkie „tak” i zatrzymasz dom, a ja będę spokojny o Nancie. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś miał obiekcje, że zajmie się nią jej ciocia.

On zaś w końcu zatańczy na grobie mężczyzny, który go upokorzył. Jeśli jednak sądził, że May rzuci mu się w ramiona, uzna go za swojego wybawiciela, bardzo się rozczarował. Jej oczy zabłyśły złością.

- To nie jest zabawne. A teraz, jeśli pozwolisz, mam dom pełen gości, którzy za dwie godziny spodziewają się lunchu.

Miała na sobie stary dres, ale minęła go z wysoko uniesioną głową. Niezależnie od wzrostu i tego, że jej dziecięca pulchność z wiekiem nie zniknęła, lecz zamieniła się w miękkie krągłości, była w każdym calu damą.

- Myszko. - Nie oczekiwał, że w tej sytuacji spotka go z jej strony zimny prysznic.

- May!

Przystanęła w drzwiach.

- Mówię poważnie - rzekł nieco ostrzej, niż zamierzał.

- To niemożliwe.

Innymi słowy może sobie nosić szyte na miarę garnitury zamiast džinsów z supermarketu, mieszkać w apartamencie, za który zapłacił fortunę, mógłby sobie nawet kupić dziesięć takich rezydencji jak Dom Coleridge'ów, a nigdy nie zmyje z siebie przeszłości. Swojego pochodzenia. Tego, że jego siostra była narkomanką, matka nie była lepsza, a ojciec był wielokrotnie notowany.

Jednak czasy się zmieniły. Już nie był dzieckiem. Miał wszystko, czego chciał. A teraz chciał właśnie jej.

- To tymczasowe rozwiązanie - oświadczył. - Małżeństwo z rozsądku.

- Czyli nie oczekiwałbyś, że...?

Czerwień zalała jej policzki, a jemu przyszło do głowy, że jeśli to dziadek aranżował zaloty Michaela Lintona, były to raczej oficjalne spotkania, a nie gorący romans. Na tę myśl krew popłynęła szybciej w jego żyłach.

- Nie oczekiwałbyś, że będę wypełniała wszystkie obowiązki żony? - podjęła.

Nie oczekiwałby, by gotowała czy sprzątała.

- Tylko żebym została nianią - ciągnęła, odzyskując panowanie nad sobą. Przyjmowała jego milczenie za potwierdzenie jej słów. - Tyle że wymagałoby to więcej formalności, dłuższego okresu wypowiedzenia, no i byłaby to poważna przeszkoda w twoim życiu towarzyskim?

- Nie mam wiele czasu na życie towarzyskie - zapewnił ją. - Zdarzają się oficjalne imprezy, gdzie bywam. Zresztą ty także się tam pojawiaasz.

Nancie, jakby świadoma napięcia, zapłakała. Adam, wykorzystując ten pretekst, by uciec przed rozpalonym wzrokiem May, wziął dziewczynkę na ręce.

- No i co ty na to?

Pokręciła głową. Wyraźnie brakowało jej słów.

- Co masz do stracenia? - nalegał.

- Łatwiej jest zawrzeć małżeństwo, niż się rozwieść - zauważyła. - Musi być prostszy sposób na zdobycie opiekunki do dziecka niż poślubianie pierwszej lepszej baby.

- Nie pierwszej lepszej - zaprotestował. - Minąłem w parku kilka kobiet i nie przyszło mi do głowy, żeby z którąś z nich się żenić.

- Nie? - Na jej wargach pojawił się cień uśmiechu.

- Rozwód uzyskuje się łatwo, jeśli tylko chcą tego obie strony - zauważył Adam. - Stracisz rok wolności w zamian za zachowanie domu. To dobry interes.

May przestała się uśmiechać.

- Tak, wiem - przyznała. - Ale co ty byś na tym zyskał? Chyba nie jesteś aż tak zdesperowany, żeby pozbyć się Nancie?

- Kto mówi, że chcę się jej pozbyć? - zapytał lekko obrażonym tonem. - Przeciwnie. Zrobię, co w mojej mocy, żeby spełnić prośbę jej mamy. Jutro muszę wyjechać, ale potem też się nią zajmę.

- Ach tak. A jak to sobie wyobrażasz?

- Będę pełnił dyżur w nocy. Główna sypialnia jest gotowa. Spakuję się i jeszcze dzisiaj się tu przeprowadzę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Co? - rzuciła zszokowana.

Nerwowo założyła kosmyk za ucho. Ten gest przyciągnął wzrok Adama do jej długiej szyi. Miała najjaśniejszą karnację, jaką widział, w odcieniu kości słoniowej. Teraz jej skóra lekko się zaróżowiła.

- Jeśli się pobierzemy, ludzie będą oczekiwali, że zamieszkamy razem - zauważył.

- Nie chciałabyś chyba, żeby inspektorzy urzędu skarbowego odnieśli wrażenie, że to tylko papierowe małżeństwo, że ich oszukałaś.

- Ale...

Nim ubrała swoje obiekcje w słowa, Nancie zaczęła popłakiwać.

- Co mam teraz zrobić? - spytał Adam bezradnie.

- Chyba jest głodna. Karmienie dziecka, podobnie jak zmienianie pieluch, powinno się odbywać regularnie. Na pewno masz butelkę i jakąś mieszankę dla niemowląt.

Nie czekała, aż Adam to sprawdzi, tylko sama poszła do sypialni i zajrzała do torby.

- Jest tylko jeden kartonik. Ciekawe, co to znaczy?

- Że wkrótce będziemy potrzebowali więcej - odparł, słysząc jej niewypowiedziane pytanie, jak długo Saffy zamierza się ukrywać.

- Adam! - zaprotestowała, szukając instrukcji.

- Gdybyś wykazała więcej chęci do współpracy, oboje moglibyśmy dalej żyć spokojnie.

May z trudem zachowywała spokój, odkąd Adam stanął pod drzewem w parku.

- Proszę... - Głos uwiązł jej w gardle. Nie mówił przecież poważnie, tylko się z nią drażnił.

Adam uniósł rękę. Jego dotyk był miły i delikatny. Kojące ciepło rozeszło się po jej ciele.

- To nie byłoby takie złe, prawda, Myszek? Złe? Czy może być coś gorszego?

- Dla mnie to dość... skrajne rozwiązanie. - Siłą woli powstrzymywała się, by się do niego nie przytulić. Żeby mu nie ulec, zapominając o dumie.

- Utrata domu i źródła utrzymania to jest skrajność - stwierdził. - Małżeństwo to tylko świstek papieru.

Nie dla niej.

- Obopólnie korzystna umowa, którą można unieważnić bez strat dla żadnej ze stron - dodał. - Pomyśl o Robbie. Gdzie ona się podzieje, jak stracisz dom?

- Ma emeryturę. Siostrę...

- A co z twoimi zwierzętami? Wiesz, że większość z nich trzeba będzie zabić.

- Przestań! - rzekła przez ściśnięte gardło.

- No - rzekł, przyciągając ją do siebie wolną ręką.

- Jestem twoim zaufanym pomagierem, zapomniałaś? Jak zwykle zjawiam się w ostatniej chwili, ale jestem gotowy podać ci pomocną dłoń.

- To coś więcej niż pomocna dłoń.

- Dłoń, stopa i wszystko, co pomiędzy - zgodził się. - Wybieraj.

Starał się ją rozśmieszyć, a może doprowadzić do łez. W tych okolicznościach i śmiech, i płacz byłyby uzasadnione. Jak postąpiłaby jej matka? Oszukałaby patriarchalny system i użyła go przeciwko niemu samemu, zachowując i dom, i wolność? Głupie pytanie. May nie jest swoją matką. Gdyby miała jej odwagę, już dawno by jej tu nie było. Ale wszystko, co ma, to ten dom, Robbie i zwierzęta.

- May?

Pora na decyzję. Jaką decyzję? To oczywiste. May wzięła głęboki oddech, starając się uspokoić bijące szybko serce, i drżącym głosem zapytała:

- Jesteś całkowicie pewny?

- Absolutnie - odparł bez cienia wątpliwości.

- Nie... - Dlaczego wciąż się waha?

- Nie?

- To znaczy tak. Masz rację.

- Czy moglibyśmy ująć to bardziej zdecydowanie? Żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy?

- Chyba nie masz zamiaru mi się oświadczyć, przyklekając?

- Boże broń! Chodzi o to, żebyśmy jakoś przypieczętowali tę umowę. - Wyciągnął do niej rękę, którą przed chwilą ją obejmował.

- Uścisk dłoni? - Wyciągnęła rękę, bliska śmiechu. - Czemu nie?

Kiedy uścisnął jej dłoń, nawet Nancie przestała marudzić. May słyszała tylko swoje walące serce i widziała tylko oczy Adama. Nie jasne oczy chłopca, które kiedyś знаła, lecz niemal ołowiane, pozbawione wyrazu oczy mężczyzny. Kiedy ją pocałował, przebiegł ją dreszcz. Opuściła powieki. W ciepłe jego warg ulotniły się wszystkie jej lęki.

Zmienił się. To był pocałunek silnego mężczyzny, a mimo to May wyczuła w nim tamtego chłopca, który całował ją w stajni, rozbierał ją i dotykał. Na chwilę przestała być kobietą, która poświęciła swoją tęsknotę za miłością i zajęła się chorym dziadkiem, tworzeniem firmy i budowaniem nowego życia w tych warunkach. Znowu była tamtą dziewczyną. Ogarnięta bolesnym pragnieniem ujrzała, jak otwiera się przed nią przyprawiająca o zawrót głowy otchłań, w którą chciała się rzucić głową w dół, nie zważając na głos rozsądku. Chciała oddać Adamowi pocałunek.

- Och...

Na dźwięk zszokowanego głosu Robbie May cofnęła się nerwowo, przypominając sobie poczucie winy i zażenowanie tamtej dziewczyny, która została nakryta z Adamem w stajni.

- Robbie...

- Zdawało mi się, że słyszałam, jak wchodziłeś - powiedziała Robbie.

- Upadłam. W parku. Adam mi pomógł.

- Teraz rozumiem, skąd ten kot - powiedziała sztywno gospodyni. - I spodnie wiązane przy piecu.

- Oboje się zabłóciliśmy - wyjaśnił Adam.

- To nie moja sprawa, co robiłeś w parku - rzekła Robbie, ignorując Adama. - Ale Jeremy tu jest.

- Jeremy? - powtórzyła May, biorąc się w garść.

- Przywiózł projekty naklejek na słoiki z miodem.

- Ach tak? Cóż... - May chciała zwiększyć produkcję miodu, a Jeremy Davidson obiecał zrobić jej naklejki.

- On robi ci grzeczność, May. Chyba nie pozwolisz, żeby na ciebie czekał - rzekła zrzędliwie Robbie i odwróciła się do wyjścia.

- Robbie... - zaczęła May, po czym zerknęła na Adama. Nagle straciła pewność siebie. Chciała wyjaśnić, że ten pocałunek nic nie znaczy, że to nie więcej niż uścisk dłoni dla przypieczerowania umowy. Tyle tylko, że kiedy Robbie się zatrzymała, całą swoją postawą wyrażając dezaprobatę, May zabrakło słów.

- Idź i porozmawiaj z tym człowiekiem od naklejek. - Adam kiwnął głową, jakby chciał ją zapewnić, że ich umowa nic w jej życiu nie zmieni.

- Ale Nancie... - Spojrzała na dziecko. To było łatwiejsze niż patrzenie w oczy Adama czy konfrontacja z Robbie.

- Za chwilę zejdem z nią na dół.

Adam odprowadzał ją wzrokiem, kiedy zawstydzona pospiesznie opuszczała pokój.

Większość kobiet w jej sytuacji natychmiast skorzystałaby z jego propozycji. Pierwszą reakcją May była stanowcza odmowa, złość, że coś takiego mogło mu przyjść do głowy. To dotknęło go do żywego. Tym pocałunkiem w pewnym sensie chciał ją naznaczyć. Obiecał sobie, że May zapłaci za każdą, najdrobniejszą choćby zniewagę. Ona jednak odpowiedziała mu tak namiętnie, że przestał czuć się jak zwycięzca. Ten pocałunek rozpałił w nim pożądanie.

Mógł mieć każdą kobietę, jakiej pragnął. May Coleridge chciał tylko upokorzyć. I dopnie swego.

Była jego ostatnim błędem, jedyną słabością. Od dnia, kiedy odszedł z tego domu, trzęsąc się z zimna w mokrym ubraniu, nie pozwolił, by cokolwiek stanęło mu na drodze. Z dyplomem w kieszeni, wielkim długiem do spłacenia, matką, która nie potrafiła zadbać ani o siebie, ani o Saffy, zaczął szukać pracy. Jedyną ofertą, jaką dostał w rodzinnym mieście, była praca w starej firmie handlowej, która działała od czasów, gdy żaglowce przywoziły herbatę z Chin. Nie o tym marzył, ale po pięciu latach został szefem firmy. Teraz był prezesem międzynarodowej spółki handlującej towarami z całego świata. Jego sukces nie zrobił wrażenia na gospodyni May.

- Dawno żeśmy się nie widzieli, pani Robson.

- A dawno. Ale chyba nic się nie zmieniło, panie Wavell - odparła lodowatym tonem.

- Przeciwnie. Chciałbym, żeby pani dowiedziała się jako pierwsza, że się z May pobieramy.

- Pobieracie się? - Ni stąd, ni zowąd zmięła. - Kiedy?

- Przed końcem miesiąca.

- Myślałam... - Pokręciła głową. - Po co ten pośpiech? O co panu chodzi? Jeżeli pan myśli, że May dostała wielki spadek...

- Nie potrzebuję jej pieniędzy. To May mnie potrzebuje. Właśnie się dowiedziała, że jeśli nie wyjdzie za mąż przed dniem swoich urodzin, straci dom.

- To niecały miesiąc! - Robbie wpadła w złość. - Czy to z tą wiadomością dzwonił rano Freddie Jennings? Był jakiś roztrzęsiony.

- Tak sędzę. Najwyraźniej wyszły na jaw jakieś zapisy, kiedy zabrał się do uwierzytelniania testamentu.

Pani Robson zbladła, ale nie straciła rezonu.

- Dlaczego akurat pan miałby jej pomóc? Co pan na tym zyska? - Nie dała mu szansy na odpowiedź. - A matka tego dziecka? Co ona powie na ten temat?

- Nancie - odezwał się, odkrywając, że dziecko jest użytecznym rekwizytem - poznaj panią Robson. Pani Robson, to moja siostrzenica.

- Córka Saffy? - Podeszła bliżej, jej rysy złagodniały. Dotknęła piąstki dziecka. - Ładniutka. A gdzie pana siostra? Na odwyku? W więzieniu?

- Ani tam, ani tam - odparł, powoli tracąc cierpliwość. - Ale mamy drobny rodzinny kryzys.

- Nic nowego.

- Tak. Saffy była pewna, że May jej pomoże.

- Znowu? Czy nie dość wycierpiała przez pana rodzinę?

Wycierpiała?

- Spotkałem ją w parku. Siedziała na drzewie - dodał. - Ratowała kota.

Pani Robson przewróciła oczami. To już lepiej.

- Opowiedziała mi o swoich problemach tylko dlatego, żeby wyjaśnić, dlaczego nie może zaopiekować się Nancie.

- A pan natychmiast wyskoczył z propozycją ślubu. Ratując nie jedną, ale dwie kobiety za jednym razem? - Jej ironiczny ton wskazywał, że w przeciwieństwie do May nie była przekonana, że to akt altruizmu.

- Trzy kobiety - skorygował. - Sądzę, że jedną z głównych trosk May jest pani, Robbie. To także pani dom.

Gdyby to nie było tak mało prawdopodobne, przysięgłby, że się zaczerwieniła.

- Tak powiedziała? - Natychmiast przyjęła pozycję obronną. - Ja się nie liczę.

- Wie pani, że to nieprawda. Pani i ten dom to wszystko, co ona ma.

Tym razem rumieniec był niezaprzeczalny.

- Biedne dziecko. Cóż, to szlachetnie z pana strony. Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego pana siostra albo pan nie zadzwonicie do jakiejś agencji opiekunek. Rozumiem, że teraz pana na to stać.

Wyjaśnił już swoje powody May i nie zamierzał tego powtarzać.

- Niech pani się cieszy przez wzgląd na May - odparł - że tego nie zrobiłem.

Ona jednak nie wyglądała na zadowoloną,

- Jeśli pan ją skrzywdzi, odpowie pan przede mną. A ja nie poprzestaną na ogrodowym wężu.

- Miałbym ją skrzywdzić? Dlaczego?

- Już raz pan to zrobił - odparła. - To leży w pana naturze. Widziałam te kobiety, z którymi pan się pokazywał. Ilu z nich złamał pan serce? - Nie czekała na odpowiedź. - May przez ostatnie dziesięć lat opiekowała się dziadkiem. Teraz go opłakuje, jest bezbronna.

- Bez mojej pomocy straci dom, firmę i zwierzęta, które kocha - przypomniał jej.

Spojrzała na niego.

- Dziecko jest głodne. Niech pan mi ją lepiej da, bo wygryzie panu dziurę w szyi. To jak jej na imię?

- Nancie, pani Robson, z „i” i „e” na końcu.

- Śliczne stare imię. - Wzięła od niego dziecko. - Witaj, Nancie. - Przeniosła wzrok na Adama. - A pan niech lepiej mówi do mnie Robbie.

- Dziękuję. Czy mogę w czymś pomóc, Robbie?

- Niech pan idzie i ustali termin w urzędzie stanu cywilnego - zasugerowała. - Chociaż może najpierw niech pan włoży spodnie.

Kuchnia była pusta, poza parą kotów zwiniętych na starym fotelu i starym psem rasy mieszanej, który dzielił kosz z kaczką i kurczęciem.

Żadne z tych stworzeń nie zwróciło na niego uwagi, kiedy zdjął spodnie z drążka nad piecem i wyszedł z nimi do sieni, gdzie w pudełku spał skulony kociak. Miał nadzieję, że Nancie łatwo się tu zadomowi. Zdrapał błoto, tak jak potrafił, i ubrał się, by móc pokazać się wśród ludzi. Potem poszedł szukać May. Znalazł ją w małym biurze, na które przerobiono jedną ze spiżarni. Był tam wysoki szczupły mężczyzna. Domyślał się, że to Jeremy. Pochylali się nad biurkiem.

- May?

Odwróciła się, patrząc na niego znad wąskich okularów wspartych na czubku nosa. Nadawały jej koci wygląd. Wyobraził sobie, jak on je zdejmuje i całuje May.

- Rozmawiałem z Robbie - powiedział. - Przedstawiłem jej sytuację.

Jej policzki znowu się zaróżowiły, ale panowała nad swoim głosem i oddechem.

- Wyjaśniłeś jej wszystko?

- Co i kiedy, i dlaczego. Zadzwoń, jak tylko załatwię sprawy. Będiesz w domu całe popołudnie?

- Chcesz to zrobić dzisiaj? - zapytała zdumiona.

- Dzisiaj, albo będzie za późno.

- Tak... Będę ci potrzebna?

- Dowiem się i dam ci znać. Podaj mi swój numer - dodał. - Jest zastrzeżony.

May wzięła ulotkę z półki nad biurkiem. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a on się zastanawiał, o czym ona myśli. O popołudniach, które spędzili razem w stajni, kryjąc się, ilekroć słyszeli czyjeś kroki? O wieczorze, kiedy byli zbyt zajęci sobą, by nasłuchiwać? Czy może o latach, które potem nastąpiły?

- Co robisz? - zapytał, spojrzawszy na biurko.

- Wybieram etykietę na miód. Znasz Jeremy'ego Davidsona? Uczy plastyki w naszym liceum. - Potem, jakby musiała się wytłumaczyć, skąd go zna, dodała: - Ja jestem członkiem zarządu.

- Jesteś członkiem zarządu szkoły? - Nawet nie próbował powściągnąć uśmiechu. A swoją drogą, czy powinien się dziwić? Urodziła się do tego, by zasiadać w zarządach organizacji charytatywnych albo szkół. W końcu, jak jej dziadek, zostanie sędzią pokoju. - Mam nadzieję, że zrobiłaś coś z tymi zapchanymi rynnami.

- Od tego zaczęłam. - Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu, połączyła ich wspólna pamięć. Potem zwróciła się do Jeremy'ego. - Adam i ja chodziliśmy do szkoły w tym samym czasie. On był dwie klasy wyżej.

- Wiem, że pan Wavell jest jednym z tych naszych absolwentów, którzy osiągnęli największy sukces - rzekł dość sztywno Jeremy. - Miło mi pana poznać.

Jeremy był jednym z tych, co noszą krawaty w barwach szkoły. Elegancki, wykształcony. Gość, który wchodzi frontowymi drzwiami. Jego maniery były bez zarzutu, jego uśmiech ograniczał się do warg.

- Pracuje u mnie Emma Davidson - powiedział Adam. - Jej mąż jest nauczycielem plastyki. Czy to może pańska żona, czy przypadkiem nosicie państwo to samo nazwisko?

- To moja żona - przyznał Jeremy.

- Tak myślałem. Pewnie macie przerwę semestralną, skoro pan bawi się etykietami.

- Jesteśmy w separacji. - Spojrzenie, jakie Jeremy rzucił May, go zdradziło. - W styczniu finalizujemy rozwód.

- Szkoda - odrzekł Adam. - Emma jest bardzo cenionym pracownikiem.

- Rozwody się zdarzają.

Owszem, ale ten nie zdarzy się dość szybko, by uratować May. Czy oni ze sobą romansują? - zastanowił się Adam. Czy może on czeka z deklaracją uczuć, aż będzie wolny?

Lepiej, żeby biedak dłużej się nie męczył.

- Czy May się panu pochwaliła? - zapytał.

- Adamie...

- Pobieramy się - podjął Adam, jakby jej nie słyszał.

Zszokowana mina Jeremy'ego mówiła wszystko. Nim znalazł właściwe słowa, May odezwała się:

- Nie wiem, który wzór wybrać. Adamie, co myślisz?

Czekał, aż Jeremy odsunie się od biurka, potem pochylił się, blokując go ramieniem. Na biurku leżały wzory naklejek w kwiaty z ozdobnym napisem: Miód z Domu Coleridge'ów. Znakomicie wyglądałyby na straganie.

- Produkujeś też domowe słodycze, prawda? - zapytał. Wziął do ręki cennik, który, jak jej broszura informacyjna, został wydrukowany na komputerze. - To wszystko, czym dysponujesz?

Kiwnęła głową, a on położył cennik i broszurę obok naklejek.

- Brak tu konsekwencji - stwierdził. - Różnią się kolorami i liternictwem. Nie mają nic, co rzucałoby się w oczy. Dom Coleridge'ów to marka. Powinnaś zatrudnić profesjonalistę.

- Jeremy...

- W twojej sypialni jest niezła akwarela. Wiejski dom, nostalgia, to by chyba było dobre. Na etykietach, na cenniku, na pierwszej stronie broszury na temat warsztatów.

Podniosła na niego wzrok, drobna zmarszczka pojawiła się między jej brwiami.

- Tak tylko pomyślałem. - Dotknął jej ramienia i kiwnął głową Jeremy'emu. - Zadzwoń później.

W kuchni Robbie szykowała jedzenie dla Nancie, która głośno wyrażała niezadowolony. Powstrzymując się przed tym, by wziąć dziecko na ręce - bo przecież chodziło o to, by pozostawić Nancie pod opieką May i nie angażować się w jej inne sprawy - Adam wyjął z portfela wizytówkę i położył ją na stole.

- Tu jest numer mojej komórki, gdybyś mnie potrzebowała.

- Proszę ją przypiąć do tablicy korkowej, dobrze?

Znalazł pinezkę i umieścił wizytówkę na wskazanym miejscu, pomiędzy listami, pocztówkami i różnymi karteluzkami. Czegoś takiego nie było w jego kuchni z kamienia i stali.

- Ma pan tylko tę torbę? - zapytała Robbie.

- Obawiam się, że tak. Domyślałam się, że jest tam trochę za mało rzeczy.

- Dobrze się pan domyśla.

- Proszę kupić wszystko, co niezbędne. Albo jeszcze lepiej zrobić listę, a ja załatwię, żeby to wszystko dostarczyli. May może mi to podać, jak zadzwonię.

Kiedy May wróciła do kuchni, odprowadziwszy Jeremy'ego, Robbie bez słowa podała jej dziecko i butelkę, a sama zabrała się za mycie sałaty.

- Jak to się robi? - zapytała May, przyciągając krzesło.

- Nauczysz się, tak jak ja się nauczyłam. Kiedy twój dziadek cię przywiózł, miałaś niespełna miesiąc.

- Robbie...

- Przyłóż jej smoka do buzi, ona zrobi resztę. - Robbie rwała liście sałaty. - Tylko trzymaj butelkę dnem do góry, żeby nie ssała powietrza.

May ułożyła dziecko na ręce, a Nancie chwyciła smoczek i zaczęła łapczywie ssać. May patrzyła na nią przez chwilę, a potem, gdy milczenie Robbie stało się nie do zniesienia, podniosła wzrok.

- Jesteś na mnie zła?

- Dlaczego miałabym być na ciebie zła?

- Ale na kogoś jesteś zła.

- Na twojego dziadka. Co za głupi i uparty człowiek. Tylko dlatego, że twoja matka go nie słuchała. Nie chciała takiego życia, jakie on dla niej wybrał.

- Mówisz o testamencie?

- A o czym miałabym mówić? Jak on mógł postawić cię w takiej sytuacji?

May westchnęła z ulgą. Spodziewała się tyrady na temat złamanych obietnic. Małżeństwa, które zawiera się z miłości, nie z rozsądku.

- Ta klauzula testamentu nie ma nic wspólnego z moją matką - powiedziała. - Tu chodzi o tradycję.

- Tradycję! W głowie mi się nie mieści, że ci to zrobił.

- Nic nie zrobił. Myślał, że wyjdę za Michaela. Gdyby wiedział..

- Gdybym ja wiedziała, że mój mąż umrze na serce w wieku dwudziestu sześciu lat, nie upierałabym się, żebyśmy poczekali z dzieckiem, aż będziemy mieli dom. - Oczywiście Robbie się zaszklili. - Życie nigdy nie jest takie, jakbyśmy chcieli. Nie ma nic pewnego.

Jak on mógł zadbać o mnie, a nie zadbać o ciebie? To takie okrutne. - Otarła łzy. - Opiekowałaś się nim przez tyle lat, a mogłaś przecież wyjść za męża...

- Cii, Robbie, wszystko się ułoży. - May chciała do niej podejść, ale Nancie się w nią wtuliła.

- Tylko dlatego, że Adam Wavell przypadkiem znalazł się na twojej drodze.

- Nie znalazł się przypadkiem. Szedł prosić mnie o pomoc. Oboje na tym skorzystamy.

- A gdyby cię nie potrzebował?

- Cóż, zamierzałam zrobić listę wszystkich wolnych mężczyzn, jakich znam. Favoritem był Jed Atkins.

- Jed! - Robbie prychnęła. - Swoją drogą Jed byłby najlepszym kandydatem. Bez dziecka.

- Za to z setkami krewnych, którzy oczekiwaliby, że zaprosimy ich na święta. Czy znalazłby się tak duży indyk?

Robbie jęknęła i obie się roześmiały, ale potem uśmiech Robbie zgasł.

- Nie zakochuj się w nim, May. Ślub to tylko świstek papieru.

- Wiem.

- Wiesz? - Robbie patrzyła na nią bacznie. - Ten pocałunek...

- Pocałował mnie, żeby przypieczętować naszą umowę. To nic nie znaczy.

- Dla niego.

- Ani dla mnie. - May zacisnęła wargi, by przestały drżeć na wspomnienie pocałunku.

Nie chciała wyciągać zbyt daleko idących wniosków z reakcji Adama na obecność Jeremy'ego. Biedny Jeremy załamał się, gdy żona go zostawiła, a ona zaoferowała mu zajęcie, by o tym nie myślał. Ale żeby Adam tak wprost oznajmił, że był w jej sypialni... Gdyby był psem, powiedziałyby, że zaznacza swoje terytorium.

Robbie mruknęła coś pod nosem, jak zwykle, kiedy nie była przekonana.

- Co mieliśmy zrobić? Uścisnąć sobie dłonie? - zapytała May, zapominając, że od tego się zaczęło.

- Czemu nie?

- Znamy się bardzo długo. Wciąż go spotykam na rozmaitych imprezach. On uratuje mój dom, na Boga.

- A ty oszczędzisz mu masę kłopotów - odparła Robbie. - Pamiętaj, że kiedy tylko ten mały rodzinny kryzys zostanie zażegnany...

- On odejdzie.

- Miejmy nadzieję, że to się nie stanie, zanim nie włoży ci obrączki na palec.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- On nie...

- Nie zawiódłby cię, nie wycofałby się w ostatniej chwili? Nie ma powodu kochać tej rodziny.

W każdym razie on nie zna takiego powodu.

- On potrzebuje mojej pomocy - powtórzyła May. Kiedy Nancie przestała pić, dodała: - Dasz radę sama zrobić lunch? Muszę przygotować kołyskę.

- Można sobie pomarzyć - odparła Robbie.

- Słucham?

- Dałaś ją pastorowi w zeszłym roku. Dla tej rodziny, której dom się spalił.

- A niech to! Zapomniałam.

- Adam mówił, żeby zrobić listę potrzebnych rzeczy - powiedziała Robbie, puszczając atak na warzywa.

- Dobrze - odparła May.

Nancie otworzyła buzię i machała pulchnymi rączkami, by zwrócić na siebie uwagę. May nie był obcy silny instynkt przeżycia u małych ssaków ślepo szukających mleka matki, ale ta niecierpliwość bezbronnego dziecka mocno ją poruszyła.

- Dodatkowa para rąk byłaby mile widziana - rzekła Robbie. - Masz zamówienie na toffi, które trzeba dostarczyć do końca tygodnia.

- Nie ma sprawy. Adam chce w tym pomóc. Muszę przygotować dla niego garderobę w sypialni dziadka.

- Wprowadza się? Do pokoju dziadka?

- Nie ma innego wolnego miejsca, dopóki są goście.

Robbie uniosła brwi.

- To nie tak, Robbie. Robbie potrząsnęła głową.

- Zostaw mnie pokój dziadka, ja tam posprzątam.

- Dziękuję.

Nancie odsunęła się od butelki i zmarszczyła nos.

- Masz już dość, kochanie? - May odstawiła butelkę.

- Musisz ją oprzeć na ramieniu i delikatnie pomasować plecy, żeby jej się odbiło.

May uniosła Nancie, a małej odbiło się bez masowania pleców. Po chwili May poczuła, że coś ciepłego spływa jej po plecach.

- Ojej! Wszystko zwróciła?

- Tylko trochę. - Robbie podała jej z uśmiechem papierowy ręcznik. - Tobie zawsze się ulewało.

- Naprawdę? - Nikt jej nie opowiadał, jakim była dzieckiem. - I co ty na to?

- Najpierw się często przebierałam, a potem zmądrzałam i kładłam sobie na ramieniu złożony ręcznik.

- Dzięki, że mi to mówisz - rzekła May, wycierając się. - Co jeszcze robiłam?

- Dużo płakałaś. Tęskniłaś za matką.

Jakby na zawołanie Nancie zaczęła popłakiwać. May lekko głaskała ją po plecach, chodząc z nią po kuchni.

- Biedne dziecko. Biedna Saffy.

Co to za rodzinny kryzys? Gdzie ona jest?

- Adam nie wie. Podrzuciła dziecko do jego biura i uciekła. Pokazał mi list, jaki zostawiła. Nie wygląda na to, żeby była w dobrej formie. Wydaje się, że ojciec Nancie dowiedział się o dawnych problemach Saffy i chce odebrać jej dziecko.

- Innymi słowy, wpakował cię w sam środek swojego popapranego życia rodzinnego.

- Saffy napisała, że ja mu pomogę. - Widząc pytanie na twarzy Robbie, dodała: - Był zdesperowany.

- Skoro jest gotów się z tobą ożenić, żeby mieć niańkę...

- Mam szczęście.

- Może. Pamiętasz tę młodą kawkę ze złamanym skrzydłem, którą zostawił na progu?

Podrzucał im rozmaite stworzenia, aż Robbie go na tym przyłapała i posłała go do wszystkich diabłów. Później wchodził przez bramę od strony parku, kryjąc się przed ogrodnikiem, i spotykał się z May w stajni. Robiła mu kawę rozpuszczalną, a on opróżniał jej pudełko z herbatnikami, a potem pomagał czyścić klatki. To był ich sekret. Nikt o tym nie wiedział. Tylko Saffy.

- Pamiętam - odparła. - A co?

- Przez tydzień płakałaś, jak odleciała.

- Czy to ostrzeżenie, żebym się nie przywiązywała do Nancie?

- Ani do jej wuja. - Robbie stuknęła czubkiem noża w deskę do krojenia. - Na strychu jest stara drewniana kołyska. Możesz ją na razie wziąć. Chyba lepiej zabrać stąd Nancie, zanim goście przyjdą na lunch.

- Dacie sobie z Patsy radę?

- Wszystko oprócz sałaty jest gotowe. - Robbie uniosła głowę. - Zmykaj stąd.

Mając świadomość, że Robbie przygotowałyby lunch z jedną ręką związaną za plecami, May wróciła do ciszy swojego pokoju, położyła Nancie do wózka, przypięła ją szelkami i poszła szukać kołyski. A kiedy już wyczyściła kołyskę, postawiła ją w nogach swojego łóżka.

- Chodź, kochanie. - Przeniosła Nancie do kołyski, a potem lekko ją kołysała, nucąc starą kołysankę, której słowa dawno zapomniała.

- Bardzo ładnie.

May wzdrygnęła się. Adam stał z rękami skrzyżowanymi na piersi, oparty o framugę drzwi łączących jej pokój dzienny i sypialnię. Zamienił zabłocony garnitur w prążki na inny, niemal identyczny, i włożył czystą białą koszulę. Za to krawat znacząco różnił się od poprzedniego. Biegający wzdłuż delikatny srebrny pasek pasował do jego oczu.

- Długo tu stoisz? - spytała zażenowana.

- Dość długo. Robbie kazała mi czekać na panią domu w salonie, ale ponieważ przywiozłem torbę z rzeczami, postanowiłem ją tu wnieść. I zostawić w mojej sypialni. Wszedłem tylnymi schodami. -

- Nie bądź taki drażliwy. Pewnie bała się, że obudzisz Nancie.

- Nigdy nie widziała, jak zakradałem się przez bramę na tyłach domu.

- Nie. - Odwróciła wzrok. Po raz pierwszy nawiązał do przeszłości. Złoty dzień, nim okłamała dziadka oraz Robbie i poszła z nim na dyskotekę.

- Ile pokoleń Coleridge'ów spało w tej kołysce? - zapytał, podchodząc bliżej.

- Wiele.

- Wszystko w tym domu wygląda, jakby było tu od zawsze.

- Większość była. Niestety brakuje jednej rzeczy - rzekła, podnosząc się na nogi.

Musiała się odsunąć od Adama, bo zbyt mocno sobie uświadamiała kontrast między jego nieskazitelną czystością a jej strojem. Poza tym pachniała środkiem odkażającym i mlekiem Nancie, które zaschło na jej ramieniu. Opaska przytrzymująca włosy zsunęła się z jej głowy. Nie musiała przeglądać się z lustrze, by wiedzieć, jak wygląda.

- Nancie powinna mieć porządną kołyskę. Niestety naszą oddałam. Po lunchu pojedę do sklepu i kupię parę rzeczy. Mogę kupić i kołyskę.

- Możemy to zrobić razem.

- Tak?

- Byłem w urzędzie stanu cywilnego. Mogą nas zapisać na dwudziestego dziewiątego.

May otworzyła usta, a potem je zamknęła. Następnie zapytała:

- Na dwudziestego dziewiątego?

- Od zgłoszenia musi minąć szesnaście dni. Jest wolny termin o dziesiątej, jeśli ci odpowiada. To poniedziałek. Zaplanowałaś na ten dzień coś takiego, czego nie mogłabyś przesunąć?

May pokręciła głową.

- Mamy kursy w środku tygodnia i w weekendy, poniedziałki są wolne. A ty?

- Zawsze znajdę dziesięć minut - zapewnił ją. - Zakładam, że wystarczy ci podstawowa ceremonia.

May w ogóle o tym nie myślała. Nie poświęcała temu ani jednej myśli od chwili, gdy była zadurzoną nastolatką, kiedy to planowała wszystko ze szczegółami. Ale to nie jest okazja wymagająca dekoracji z róż w kościele, chóru śpiewającego jak anioły i ławek pełnych koleżanek, patrzących z zazdrością, jak ona sunie nawą w sukni ślubnej w rozmiarze zero od najlepszego projektanta.

- Tak. - Kiwnęła głową.

- Potrzebujemy dwóch świadków. Oczywiście weźmiemy Robbie. Freddie Jennings mógłby być drugim.

- Dobry pomysł.

- Mam dziś mnóstwo dobrych pomysłów. Teraz musimy zanieść im metryki urodzenia i podpisać kilka papierów.

- Teraz? Nie mogę zostawić Nancie.

- Weź ją ze sobą.

- Tak, oczywiście - odparła. Wyobraziła sobie, jak pcha wózek przez miasto, a wszyscy myślą, że to dziecko jej i Adama. - Ja... muszę się przebrać.

Wyjęła z szafy to, co jej wpadło w ręce. Sztruksową spódnicę w kolorze złota i czarny sweter z dekoltem V. W łazience spryskała twarz zimną wodą, zrobiła delikatny makijaż, upięła włosy i przejrzała się w lustrze. Czy Adam nie pomyśli, że chce na nim zrobić wrażenie?

Och, na Boga, jakby Adam zwracał uwagę na to, w co jest ubrana. A jednak było coś niepokojącego w tym, że siedział w jej prywatnej przestrzeni i czekał na nią.

Szarpnęła drzwi, a on podniósł wzrok.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak, jeszcze tylko buty. - Wyjęła je z szafy, starając się nie zwracać uwagi na Adama, który stał przy oknie sypialni z Nancie na rękach. - Poszukam metryki i możemy iść. Potrzymam Nancie, a ty znieś wózek.

- No i poszło bezboleśnie - rzekł Adam, gdy wyszli z urzędu stanu cywilnego.

May przytaknęła, ale była bardzo blada. Może dla niego poszło bezboleśnie, ale wszyscy pracownicy ratusza znali May. Wszyscy chcieli jej pogratulować i podziwiali Nancie, zakładając, że to jej dziecko.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że Nancie nie jest twoją córką? - zapytał.

- Uznałam, że tak będzie bezpieczniej.

- Bezpieczniej? - Zmarszczył czoło.

- Dla Saffy.

Przez chwilę nie mógł znaleźć słów. Choć wszyscy znali May, była dość zamknięta w sobie i zapewne umierała ze wstydu, gdy znalazła się w centrum uwagi. A jednak się uśmiechała i pozwoliła wszystkim myśleć, co tylko chcieli, żeby chronić jego siostrę.

- Nie wiem jak ty, ale ja mam ochotę na lunch - rzekł.

- Myślałam, że pojedziemy do centrum handlowego. Niedługo trzeba znów nakarmić Nancie.

- Jak padniesz z głodu, na nic się jej nie przydasz. - Wziął ją za rękę i przeszedł na drugą stronę ulicy.

W kafejce znaleźli miejsce przy oknie, gdzie zmieścił się wózek, bo największy ruch już minął.

- Dla mnie kanapka z bekonem, sałatą i pomidorem, a dla ciebie?

May kiwnęła głową. Adam złożył zamówienie, prosząc też o herbatę.

- Oboje mamy za sobą ciężki ranek. Lekarz zaleciłby gorącą słodką herbatę - rzekł po odejściu kelnerki.

- To wszystko powoli do mnie dociera.

- To straszne, co cię spotkało.

- Co? Och. - Potrząsnęła głową. - Dziadek stracił pamięć.

Adam zakładał, że May mówi o utracie domu, ale wydawało się, że to ślub z nim był dla niej tak szokujący.

Jeśli oczekiwała takiego partnera jak dobrze wychowany, ale zapewne nie posiadający grosza Jeremy Davidson - rozwód pozbawi go większości środków, jakimi dysponował - miała powód być w szoku. Ale jak jej przodkowie była gotowa na wszystko, byle zatrzymać rodzinną posiadłość.

- Wybrałaś naklejki na słoiki z miodem?

Spojrzała na niego, a potem, gdy przyniesiono im jedzenie, odparła:

- A, naklejki. Posłuchałam twojej rady i dałam Jeremy'emu tę akwarelę. Zeskanuj ją i zobaczymy, co wymyśli.

Wcale go to nie ucieszyło, tak jak powinno, biorąc pod uwagę, że to był jego pomysł, ale co miał powiedzieć? Że nie chce tego faceta w jej sypialni?

- Radziłem ci, żebyś zatrudniła fachowca.

- Ile miodu według ciebie produkuję? - zapytała. - Nie mogę sobie pozwolić na grafika. Jeremy robi mi uprzejmość.

- Stara się utrzymać dobre stosunki z członkiem zarządu szkoły - odparł, nalewając herbatę. Posłodził ją, a potem podał May filiżankę. - Ma szansę na awans?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Wypiła łyk herbaty.

- Mało słodka? - zapytał, a na jej twarz wypłynął uśmiech.

- Jesteś taki zabawny - powiedziała, podając Nancie smoczek.

- May... - Jego telefon zaczął dzwonić, lecz go zignorował. Relacja May z Jeremyem jest ważniejsza niż to, co chce Jake. Jeżeli May sądzi, że może to ciągnąć...

- Nie odbierzesz? Może to Saffy.

- Co? - Wyjął telefon z kieszeni. - Tak? - burknął tak ostro, że gdyby to była siostra, rozłączyłaby się. Ale dzwonił ktoś inny, bo po chwili Adam mruknął: - Piętnaście minut. - Potem odpowiedział na pytające spojrzenie May: - To z biura. Nie mogę jechać do centrum. Czy mogę to wziąć na wynos? - zwrócił się do kelnerki, wskazując talerz. - Daj mi listę potrzebnych rzeczy, jakoś to załatwię.

- Chciałeś powiedzieć, że każesz Jake'owi to załatwić - odparła May rozdrażniona, choć nie wiedziała dlaczego.

Adam patrzył na nią tak dziwnie, i tak dziwnie wymówił jej imię, nim zadzwonił telefon. Czyżby zmienił zdanie?

- I tak musi wiedzieć, gdzie jest Nancie, na wypadek, gdyby Saffy się pojawiła, kiedy mnie nie będzie. A ty musisz mieć kogoś, do kogo mogłabyś się zwrócić o pomoc w pilnej sprawie. Jake załatwi ci też kartę kredytową.

- Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

- Z rozmów moich kolegów wynika, że dzieci są drogie. Nie oczekuję, żebyś dotowała moją siostrę. Na kartę kupisz wszystko, czego Nancie potrzebuje.

- Ona potrzebuje miłości, a nie kawałka plastiku.

- Jeśli dasz jej połowę tego, co masz dla zwierząt, to jest w dobrych rękach - odparł. - Ale nie chodzi tylko o Nancie, ty też musisz uzupełnić garderobę. - Zanim coś wtrąciła, dodał: - Dres jest praktyczny, a mała czarna, w której pokazujesz się na wszystkich imprezach od pięciu lat, to klasyka, ale kiedy przedstawię cię światu jako moją żonę, oczekiwałbym czegoś, co bardziej odpowiada mojej pozycji.

Przedstawi ją... Jego pozycji...

To była odpowiedź na pytanie, czy zmienił zdanie. Nie, nadal zamierzał ją poślubić, ale nie chciał być z nią widywany, dopóki ona nie przejdzie metamorfozy.

- Może powinieneś pomyśleć o żonie, która bardziej odpowiada twojej pozycji - warknęła. - Wziąć do opieki nad Nancie jedną z tych chudych blondynek, które tak ci się podobają. - Wstała tak energicznie, że krzesło niemal upadło na podłogę, a goście przy innych stolikach odwrócili głowy.

- Czy w tym hrabstwie jest lepsza partia niż panna May Coleridge? - zapytał, biorąc ją za rękę.

May przeszedł dreszcz. Czowała, że za chwilę zrobi z siebie widowisko, a zatem z powrotem opadła na krzesło.

Po twarzy Adama przemknął nieczytelny uśmiech, May zaś ogarnęło to samo uczucie co chwilę przedtem, zanim ją pocałował. Zdała sobie sprawę, że Adam nie jest już tym chłopcem, który całując ją, drżał z przejęcia. To mężczyzna, któremu rzucono najmniejsze koło ratunkowe, a on w ciągu dekady uporał się z problemami starej rodzinnej firmy, przejął nad nią kontrolę i zbudował prawdziwe imperium. Co wymagało ciężkiej pracy, mądrości, talentu, a także bezwzględności. Czułaby się winna (bo miała swój udział w rzuceniu tego koła, w tajemnicy błagając przyjaciela rodziny, by dał mu pracę), gdyby nie to, że ta rodzina zyskała na tym więcej pieniędzy, niż widziała w całym swoim dotychczasowym życiu.

- Ja tylko sugerowałem, jak zwykle mało subtelnie - podjął - że może będziesz miała ochotę kupić sobie coś nowego na sezon świątecznych spotkań. - Wciąż trzymał ją za rękę dość mocno, by mu się nie wyrwała. - Poproszę Jake'a, żeby zadzwonił do ciebie w przyszłym tygodniu, przejrzyście razem kalendarz - rzekł stanowczo.

- Świąteczne imprezy to twoje najmniejsze zmartwienie - powiedziała. - Moją jedyną troską jest Nancie. I Saffy. Podjąłeś jakieś kroki, żeby ją znaleźć?

Puścił jej dłoń, wyjął portfel i wymienił banknot na papierową torebkę, którą przyniosła mu kelnerka.

- Dzwoniłem do znajomego, który prowadzi firmę ochroniarską. On robi wszystko, żeby ją znaleźć. Dyskretnie sprawdza też, co dzieje się we Francji.

- Przepraszam. - Zrozumiała, że duma odebrała jej rozsądek. - Nie chciałam cię atakować.

Położył dłoń na jej ramieniu.

- Daj spokój. Oboje mamy kiepski dzień.

- Powiesz wszystko Jake'owi? - zapytała. - To znaczy, że ja... my... - Nie przeszło jej to przez usta.

- Że bierzemy ślub? - Uśmiechnął się, gdy kiwnęła głową. - To konieczne. Muszę mu powierzyć sprawy organizacyjne.

- A co takiego trzeba zorganizować na dziesięciminutową ceremonię?

- Czy to musi być dziesięć minut? Może urządzimy coś bardziej rozrywkowego niż ceremonia w urzędzie.

- Rozrywkowego? Uważasz, że potrzebuję rozrywki?

- No to bardziej eleganckiego. Gdzieś, gdzie można zjeść lunch, albo później kolację, żebym mógł cię przedstawić moim dyrektorom i ich żonom.

May otworzyła usta, a potem je zamknęła.

- Jake zajmie się kwiatami, samochodami, fotografem, ogłoszeniami w gazecie, wieczornym spotkaniem dla mojego personelu.

- Sporo o tym myślałeś.

- Nie musiałem się zajmować dzieckiem.

- No nie. Ale sądziłam...

Adam zapomniał, że potrafi czytać w jej myślach. Uderzyło go to już w parku, kiedy krzyczała, że zostawił Nancie, a on na jej twarzy widział, co myślała. Teraz próbowała pogodzić się nawet nie z tym, że zostanie jego żoną, ale z tym, że wszyscy będą o tym wiedzieli. I że będzie musiała publicznie odgrywać rolę żony.

- Sądziłaś, że nikt nie powinien o tym wiedzieć?

- No... tak - przyznała. - W końcu to tylko formalność. Nie oczekiwałam, że będzie wokół tego tyle zamieszania.

- Ale właśnie o to chodzi, May - odparł łagodnie. - O ten show. - W końcu dostał wszystko, czego chciał. Ona także. Ale oboje mieli za to zapłacić. W jego wypadku będą to po prostu pieniądze. W jej duma. Sprawiedliwa wymiana. - Chyba nie chciałabyś, żeby urzędnicy skarbowi podejrzewali, że bierzesz ślub wyłącznie po to, żeby nie oddać im Domu Coleridge'ów?

- Myślałam, że Freddie Jennings w roli świadka załatwi tę sprawę - odparła. - Po powrocie do domu opowie wszystko żonie. Przed wieczorem całe miasto będzie wiedziało o ślubie.

Adam w to nie wątpił, jednak nie zamierzał rezygnować z oficjalnego ogłoszenia w dzienniku „The Times”.

- Muszę lecieć. Jeśli chcesz, żeby cię podwieźć...

- Nie, wrócę piechotą. Przedstawię Nancie kaczkom.

- W takim razie do zobaczenia. Nie wiem, kiedy będę.

Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się tak, aż mu zapało dech.

- Jeśli wrócisz późno, wstawię twoją kolację do piekarnika, jak na żonę przystało.

Kolację? Nigdy po powrocie do domu nie jadał domowej kolacji. Jego matka co najwyżej podawała pizzę. W czasie studiów był na własnym garnuszku. Od chwili gdy osiągnął sukces, oczekiwano, że to on, w zamian za śniadanie, będzie zapraszał na kolację. I to w restauracji, gdzie dobrze jest być widzianym.

- O której jadasz kolację? - zapytał.

- Nie mam stałej pory. O siódmej?

- Powinienem zdążyć.

- Na wypadek, gdyby coś cię zatrzymało... - Otworzyła skórzaną torebkę na pasku i wyjęła z niej pęk kluczy. Po chwili wahania zdjęła z kółka groźnie wyglądający duży klucz i podała go Adamowi. - To od frontowych drzwi. Jutro dostaniesz cały komplet.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jake, asystent idealny, nie okazał zdziwienia, gdy Adam poinformował go, że się żeni. Jake słuchał, robił notatki i godzinę później wrócił z listą wolnych lokali oraz gości zaproszonych na lunch i na przyjęcie. Miał także napisane na brudno ogłoszenie do „The Times”.

Adam przejrzał je i kiwnął głową.

- May zadzwoni i przekaże ci listę rzeczy potrzebnych dla Nancie.

- Już rozmawiałem z panią Coleridge. Potrzebowałem jej pełnego imienia i nazwiska do ogłoszenia w prasie, a ponieważ pan miał telekonferencję...

- Tak, tak - rzekł Adam z niespodziewaną irytacją.

Patrząc na tekst ogłoszenia, uświadomił sobie, że nie wiedział, iż May naprawdę ma na imię Mary. Chociaż teraz, gdy o tym pomyślał, wydawało się to logiczne.

- Pokaż mi listę.

- To tylko podstawowe rzeczy - odparł Jake. - Proponowałem coś więcej, ale ona twierdzi, że to wystarczy.

Zapewne ma większość rzeczy, pomyślał Adam. Na przykład starą kołyskę. Kiedy rodzina od pokoleń mieszka w tym samym domu, niczego się nie wyrzuca. Ale

May nie ma nic nowego, nowoczesnego. Może niepotrzebnie wspomniał May o jej strojach, ale nie będzie mogła mu odmówić, gdy poprosi, by dogadzała Nancie. Chciał, aby wydawanie jego pieniędzy sprawiało jej przyjemność. Chciał zostawić swój ślad w tym domu, odcisnąć na nim swoje piętno. Zostać częścią jego tkanki, częścią historii Coleridge'ów.

- Zapomnij o tym, Jake - powiedział. - Zadzwon do sklepu z rzeczami dla dzieci w centrum handlowym i powiedz kierownikowi, żeby wybrał wszystko to, co spełniałoby najbardziej szalone fantazje młodej mamy. Ubrania, zabawki, meble. Tylko dopilnuj, żeby wszystko dostarczono dzisiaj do Domu Coleridge'ów przed piątą po południu.

Jake zerknął na zegarek.

- Będzie trudno.

- Na pewno się postarają.

- Nie wątpię. Zamówiłem kartę kredytową dla pani Coleridge. Będzie na poniedziałek. Sam ją dostarczę.

- Wystarczy wysłać listem ekspresowym - odrzekł Adam. Będzie miał problem z przekonaniem May, by z niej korzystała.

- W drodze do domu i tak mijam Dom Coleridge'ów. Przy okazji sprawdzę, czy czegoś jej nie trzeba. Odniosłem wrażenie, że pani Coleridge nie lubi o nic prosić.

- Masz rację. Prawdę mówiąc, możesz porozmawiać z jej gosposią, panią Robson.

Po wyjściu Jake'a Adam usiadł w fotelu i wyjrzał przez okno na park. Nad nagimi gałęziami widział kominy Domu Coleridge'ów.

Wystarczyła jedna rozmowa telefoniczna, żeby Jake rozgryzł May. Nigdy o nic nie prosiła. Gdyby Saffy nie wysłała go do niej, o jej losie dowiedziałby się, jak wszyscy inni, z tablicy z napisem „Na sprzedaż” stojącej przed jej domem. Co prawda to jeszcze nie znaczyłoby, że stracił okazję. Mógłby kupić dom, przenieść tam swoją firmę, zalać betonem miejsce swojego poniżenia i urządzić tam parking. To jednak nie byłoby tak satysfakcjonujące jak myśl, że tej nocy będzie spał w łóżku należącym do Jamesa Coleridge'a. I że za niespełna trzy tygodnie jego wnuczka zostanie panią Mary Louise Wavell.

Dopiero po kilku chwilach grzebania wśród toreb i pudeł złożonych w jej pokoju May znalazła swój telefon.

- Tak? - burknęła.

- Biegłaś?

- Adam... - Nie spodziewała się, że on zadzwoni, a gdyby nie była zdyszana po rozpakowywaniu kołyski, wystarczyłby jego głos.

- Mam nadzieję, że się nie przemęczasz?

- Przemęczam? - powtórzyła, zdmuchując z twarzy kosmyk włosów. - Oczywiście, że się przemęczam. Co ty na Boga wyprawiasz?

- Nie mam pojęcia. Może mi podpowiesz?

- Prosiłam o łóżeczko. Jedno łóżeczko, jeden przewijak, kilka ubranek i pieluchy. Dostałam komplet mebli do pokoju dziecka. Komódki, półki, przewijak z szufladami i tyle pieluszek, ubranek oraz zabawek, że starczyłoby dla całego żłobka.

- No, no. - Nie krył rozbawienia.

- Nie chciałam być niewdzięczna, ale jak pewnie się domyślasz, jestem trochę zajęta.

- Możesz poczekać z ustawianiem mebli, aż wrócę,

- Ustawianiem? - Rozejrzała się po pokoju zastawionym paczkami i częściami mebli. - Trzeba je złożyć.

- Chcesz powiedzieć, że przywieźli je w paczkach?

- Najwyraźniej wszyscy teraz tak robią. - Spojrzała bezradnie na stos lśniących chromowanych części kołyski. - Nie rozróżniam kołnierza śruby od nakrętki.

- Tak, te cholerne nakrętki - zgodził się.

- To nie jest zabawne. - W wyobraźni widziała jego uśmiech, który zapierał jej dech w piersi. - Jest tam Jake? Sprawia wrażenie człowieka, który ma dryg do wielu rzeczy. Powiedz mu, że gdyby umiał złożyć to łóżeczko, poczęstuję go pyszną zapiekanką Robbie, ciastem cytrynowym i dorzucę jeszcze toffi.

- Jake jest zajęty. Obawiam się, że będziesz musiała zrobić to ze mną.

- Z tobą?

- Spróbuj pohamować swój entuzjazm.

- Ja tylko... Przepraszam, nie chciałam być niewdzięczna, ale myślałam, że pracujesz. Dlaczego dzwonisz?

- Przeglądałam listę, którą przygotował Jake, i właśnie dotarłem do obrączek.

May wypuściła z ręki jedną z desek łóżeczka, którą trzymała, kiedy zadzwonił telefon.

- May? - spytał z niepokojem.

- W porządku. Drobnny problem z kołnierzem śruby.

- Czy z kołnierzem śruby może być w ogóle mały problem? - zapytał, a ona się zaśmiała.

Kiedy ostatnio się śmiała?

- Obrączki? Nie. Mam śruby, wkręty - odparła, usiłując obrócić to w żart. - Nie widzę...

- Ślubne obrączki. Pomyślałem, że chciałabyś wybrać sobie obrączkę.

- Nie - odparła.

- Na pewno?

- Chciałam powiedzieć, żebyś się tym nie przejmował. Włożę obrączkę mojej babki.

Tę, którą miała włożyć, poślubiając Michaela Lintona i zostając współczesną wersją swojej babki - idealną żoną, gospodynią, matką.

- Wątpię, żeby twój dziadek był zadowolony, że włożę ci na palec obrączkę, którą on kupił.

- Pewnie by nie był. - Ale obrączkę powinno się kupować z miłości, z myślą o tym, że będzie trwała wiecznie. Zaśmiała się lekko. - Ale tego właśnie chcę.

- Skoro jesteś pewna.

Była pewna. Poza tym, gdyby Adam kupił jej obrączkę, musiałaby ją zwrócić, a obrączkę babki może nosić zawsze.

- Tak, jestem. To wszystko?

- Nie, mam całą listę rzeczy, które wymagają twojej decyzji, ale zaczekam z tym, aż oddzielę twoje śruby od czegoś tam. Będę za pół godziny.

- To musi pasować tutaj. - May postukała krótkim paznokciem w rysunek.

Kłęczeli na podłodze pokoju May, pochyleni nad rysunkiem pokazującym, jak należy złożyć szafkę, który miał się nijak do części wyjętych z pudła.

Adam nigdy dotąd nie zwrócił uwagi, że May ma tak małe dłonie, dopóki ich nie mył i nie dezynfekował zadrapań. W ciągu minionych dwóch godzin, podczas gdy ona przytrzymywała fragmenty mebli, a on je skręcał - w międzyczasie zaglądając do Nancie - z trudem koncentrował uwagę na czymkolwiek innym poza jej dłońmi.

- Nigdzie indziej nie pasuje - upierała się. Drobne, miękkie, ładne dłonie, stworzone do noszenia pięknych pierścionków.

- Zgodziłbym się z tobą, gdybyś nie patrzyła na rysunek do góry nogami.

- Co? O Boże, chyba masz rację. - Zdjęła okulary i przysiadła na piętach. - No to już mi brak pomysłów. Może pora przyznać się do porażki i wezwać na pomoc Jake'a.

Adam podniósł wzrok. Zamierzał oznajmić, że nie ma niczego takiego, co Jake potrafiłby zrobić, a on nie, ale słowa zamarły mu na wargach.

May odreagowywała złość na swoich włosach, które wyglądały tak, jakby ktoś ją przeciągnął w tę i z powrotem przez gęstwinę krzewów. Policzki miała zaczerwienione z wysiłku. Ale jej karmelowe oczy błyszczały, rozświetlając jej twarz, i było jasne, że niezależnie od frustracji związanej z tym wysiłkiem, sprawiało jej to przyjemność.

Adam odkrył ku własnemu zaskoczeniu, że on też nieźle się bawi. A ponieważ nie mogło to mieć nic wspólnego ze składaniem mebli, musiał zawdzięczać swój dobry nastrój osobie, która mu towarzyszyła.

- Myślisz, że pozwolę się pokonać tej stercie drewna? - zapytał.

- Wyjątkowo męska odpowiedź - rzekła ze śmiechem.

Nigdy nie zapomniał jej uśmiechu, serdecznego, podnoszącego na duchu, odganiającego wszystkie troski. Żadna inna kobieta tak na niego nie działała. Może dlatego nie był w stanie jej wybaczyć. Na pozór żył dalej i robił postępy, ale w głębi duszy pozostał chłopcem, który nie był dość dobry dla dziewczyny z zamożnego domu.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że kwestionuję twoją męskość.

- A kwestionujesz? - To miał być żart, ale powiedział to ostrzej, niż zamierzał.

Oczy May pociemniały i pojawił się w nich jakiś błysk, który kazał mu chwycić ją za głowę i zmiażdżyć jej wargi pocałunkiem. Żadnej tam delikatności, finezji, czułości. Tu chodziło o posiadanie, naznaczenie jej, zmuszenie jej do zapłacenia mu za wszystkie lata, kiedy nie mógł zapomnieć o jej dłoniach na swoim ciele, jej wargach na swoich ustach. Pragnął ją osiąść tutaj, na podłodze.

Dopiero narastający płacz Nancie ściągnął go na ziemię. Puścił May, a ta z trudem się podniosła, wzięła na ręce Nancie i zaczęła ją kołysać, by ją uspokoić. Albo żeby uspokoić siebie.

- Muszę ją nakarmić - powiedziała, nie patrząc na Adama i szybko wyszła.

Chciał za nią pójść, wyjaśnić jej, co czuje, ale jeżeli czegoś się nauczył, to panowania nad sobą, został zatem w pokoju i czekał, aż zacznie normalnie oddychać.

Potem znów zabrał się za szafkę. Ponownie przeczytał instrukcję i nie niepokojony włosami May, jej dłońmi, jej wargami, poskładał wszystko w parę minut.

May oparła się o ścianę na podeście schodów. Nogi nie chciały jej nieść w dół. Przycisnęła rękę do ust. Nie wiedziała, czy robi to, by je ochłodzić, czy może zatrzymać ciepło warg Adama.

Ten pocałunek w niczym nie przypominał pocałunku z dzisiejszego ranka - czułego i delikatnego. Ten był zachłanny i zaborczy. May nie była w stanie myśleć ani ruszyć się z miejsca. Zaprażyła wszystkiego, co Adam mógł jej dać. Chciała czuć jego szorstki policzek nie tylko na policzku, ale też na swoich piersiach. Chciała od niego tego, co nie przyszło jej do głowy w związku z mężczyzną, z którym była zaręczona.

Gdy tylko Adam przyjechał z biura, zdjął marynarkę i krawat, podwinął rękawy koszuli, May nie mogła się skupić. Myślała jedynie o ciemnych włosach opadających mu na czoło, kiedy pochylał się ze śrubokrętem. O dreszczach, które wywoływało muśnięcie jego ręki. O głupim uczuciu, jakby się rozpływała, gdy spojrzał na nią z uśmiechem, bo jakieś części mebli do siebie pasowały. O tym, jak złapał ją za rękę, kiedy się zachwiała i nie puszczał jej, aż odzyskała równowagę. Jakimś cudem trzymała się jeszcze, gdy składali łóżeczko. Przewijak okazał się większym wyzwaniem.

Było tu więcej części i wciąż musieli się dotykać. Miała wrażenie, że jeśli odwróci głowę, on ją pocałuje, a może spełni jej wszystkie marzenia...

Kiedy wzięli się za komódkę, May była już w takim stanie, że bardziej przeszkadzała, niż pomagała. Patrzyła na rysunki, ale w istocie była skupiona na silnych ramionach Adama, na jego brodzie z popołudniowym zarostem.

Czuła, że traci głowę, że jeśli nie ucieknie, popełni straszne głupstwo. Tymczasem powiedziała coś naprawdę głupiego, a ten gorący pocałunek nie miał nic wspólnego z owym chłopcem, którego pokochała, a wszystko z mężczyzną, jaki z niego wyrósł.

Adam przykręcał ostatnią śrubkę, kiedy May stwierdziła, że musi zmienić Nancie pieluszkę, czyli wrócić do pokoju.

- Udało ci się! - zawołała, zmuszając się do uśmiechu.

- Jak już odpowiednio ułożyłem sobie śrubki - odparł - to było proste jak drut.

- Jesteś głodny?

- Coś ładnie pachnie. - Postawił kamerę elektronicznej niani na szafce, kierując ją na matę do przewijania, gdzie Nancie wymachiwała nogami. - Świetnie to ktoś wymyślił.

- Fantastyczne. - May spojrzała w monitor w tej samej chwili, co Adam, i szybko się odsunęła. - Nancie jest fantastyczna.

Obie są fantastyczne, pomyślał Adam.

- Co mam zrobić z tymi pudłami? - zapytał.

- Zanieś je do stajni - odparła, zdejmując Nancie śpiochy. - Spójrz, ślicznotko, jesteś w telewizji.

Podniosła wzrok na Adama i zobaczyła, że patrzy na nią jakby błagalnym wzrokiem. O co błaga? O wybaczenie?

- Tam odbywają się zajęcia dla naszych kursantów - dodała szybko. - Karton zawsze się przyda.

Nancie chwyciła ją za włosy, a May, śmiejąc się, ucałowała jej palce. Adam kiedyś całował palce May w ten sam sposób. Całował jej szyję, jej młode jędrne piersi.

May się odwróciła, zakładając kosmyk za ucho.

- Saffy jest szczęściarą - powiedziała.

- Szczęściarą?

- Ma Nancie.

Spojrzał jej w oczy i zobaczył, że jej uśmiech jest podszyty smutkiem. Zbliżała się do trzydziestki, nie miała męża ani dzieci. Ale to nie jego wina, prawda?

- Masz jakieś wieści na temat Saffy? - zapytała.

- Jeszcze nie - odparł, zbierając poskładane pudła.

Zniósł je na dół, zadowolony, że chłodne wieczorne powietrze go orzeźwi.

Było już ciemno, ale ścieżka i podwórze przy stajni były dobrze oświetlone. Od pokoleń nie trzymano tam koni, od ponad wieku nie stał tam żaden pojazd. Bramy stajni i powozowni były pomalowane czarną połyskującą farbą. Drewniane donice z zimowymi wrzoscami i bratkami nadawały temu miejscu wiejski charakter. Czarno-biały kot zamruczał i otarł się o jego nogi.

Adam czuł zapach zwierząt. Usłyszawszy parsknięcie z niskich budynków w odległej części podwórza, odwrócił się i ujrzał osła wystawiającego głowę przez drzwi stajni. Dołączyła do niego koza, stając na zadnich nogach.

Zajęcia dobiegły końca kilka chwil wcześniej. Kiedy Adam złożył szafkę, słyszał uruchamiane silniki samochodów, radosne głosy wymieniające słowa pożegnania. Ale w stajni wciąż paliło się światło. Dziewczyna, która zamiatała podłogę, podniosła wzrok, gdy wszedł do środka, i znieruchomiała przestraszona.

- Pani Coleridge jest w domu - oznajmiła.

- Wiem. Prosiła, żebym to tutaj przyniósł.

- A, chce pan to zostawić w magazynie. Tamte drzwi na lewo.

Spodziewał się, że to wciąż będzie tamta stajnia, którą znał, tylko uprzątnięta, żeby było miejsce dla kursantów May. Bardzo się mylił.

Zainwestowano tam spore pieniądze, urządając przestronne i widne miejsce do pracy.

Strych zniknął, zainstalowano świetliki, a na drewnianych krokwiach umieszczono nowoczesne lampy punktowe, które oświetlały wszystkie kąty. Położono drewnianą podłogę, na jednej ze ścian zamontowano głębokie prostokątne zlewy. Stały tam też oczywiście stoły do pracy i krzesła. W odległym końcu pomieszczenia, gdzie kiedyś robili sobie kawę, urządzono łazienkę przystosowaną dla niepełnosprawnych.

Oszukany przez beznadziejne naklejki Adam sądził, że May zajmuje się drobną domową produkcją, teraz jednak przekonał się, że myślała przyszłościowo. Rozumiała, że nadejdzie czas, kiedy Dom Coleridge'ów będzie musiał na siebie zarabiać, jeśli zechce go zatrzymać.

Myślał, że ją zna. Jak bardzo się mylił!

May położyła Nancie i nie podniosła wzroku, gdy Adam wrócił po resztę pudeł. Potem, skierowawszy kamerę na łóżeczko, zeszła na dół i zajrzała do nowego kota. Przedstawiła go mieszkającym w kuchni dwóm starym ukochanym kotom, które przywykły już do różnych młodych znajd - królików, szczeniąt, a nawet kurcząt, i dbały o ich czystość oraz ciepło.

Koty umyły małego kociaka i przytuliły go do siebie, a kiedy May je głaskała, także ją polizwały. Jakby była jeszcze jednym zabłąkanym zwierzęciem.

Adam wszedł tylnymi drzwiami, wpuszczając nagły podmuch wiatru. May odwróciła się do niego.

- Udało ci się tam wszystko upchnąć?

- Bez problemu. Jestem pod wrażeniem tego, co tam zrobiłaś.

Uniosła brwi.

- Wyobrażałeś sobie, że przykryliśmy kamienną podłogę sianem?

- Nic sobie nie wyobrażałem - skłamał, rozglądając się po kuchni, by nie patrzeć jej w oczy. - Zastanawiam się teraz, jak zapewniasz gościom posiłki, jak robisz domowe słodycze. To urocza kuchnia, ale nie wydaje mi się, żeby spełniała wymogi inspektorów sanitarnych.

- Tak? A co ty wiesz o standardach cateringu?

- Moja firma między innymi importuje najlepszą kawę z całego świata. Nie wyglądałoby to dobrze, gdyby personel musiał wychodzić na poranną kawę do jakiejś sieciówki.

- Raczej nie.

- Więc jak to robisz? - zapytał, otwierając lodówkę.

- Cóż, miałam wybór - odparła. - Czego szukasz?

- Piwa. - Skrzywił się. - Mój błąd.

- Znajdziesz piwo w spiżarni. - Rozbawiona jego zdziwieniem, dodała: - Nie wszystkie warsztaty dotyczą zajęć typowo kobiecych.

- Oddam ci potem.

- Nie trzeba.

- Nie jestem twoim gościem. - Wziął puszkę ze spiżarni, otworzył ją i oparł się o zlew, patrząc, jak May wkłada rękawice i wyjmuje z piekarnika zapiekankę. - Wybór?

- Mogłam wyrzucić stare meble, urządzić tu supernowoczesną kuchnię z nierdzewnej stali i przenieść zwierzaki do sieni, ale wtedy czułabym się, jakby wyrwała serce tego domu.

- To nie wchodziło w rachubę.

- Nie - odparła zadowolona, że ją rozumiał. - Taniej było urządzić drugą kuchnię w pokoju kredensowym.

Adam zakrztusił się piwem.

- W pokoju kredensowym?

- Nie przejmuj się. W Domu Coleridge'ów od dawna nie ma służby - odparła, a napięcie, które towarzyszyło jej od chwili ostatniego pocałunku, rozplynęło się w uśmiechu.

- Co za ulga. Ta przeróbka musiała cię sporo kosztować. Opłacało się?

- Bank chyba tak uważa.

- Pożyczyłaś pieniądze z banku?

May słyszała niedowierzanie w jego głosie.

- Pewnie mogłam pożyczyć od dziadka.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Bo to moja firma. - Widząc jego przerażoną minę, dodała: - Nie martw się. Nie zarabiam fortuny, ale mam dosyć rezerwacji, żeby spłacić kredyt. Nie będziesz musiał mnie dofinansowywać.

- Co? Nie... Właśnie do mnie dotarło, w jakich kłopotach byś się znalazła, gdybym się dziś rano nie pojawił.

On nie myśli o sobie? O tym, że jako mąż będzie odpowiedzialny za jej długi?

- To nie byłby koniec świata. - Postawiła zapiekankę na stole. - Gdybym sprzedała wyposażenie domu, byłabym w stanie zwrócić pieniądze.

Chwycił ją za nadgarstek.

- Obiecaj mi jedno, May - poprosił. - W chwili, kiedy zostaniemy małżeństwem, powiesz Jenningsowi, żeby postarał się unieważnić tę klauzulę.

- To numer jeden na mojej liście - zapewniła go.

Choć szansa, że będzie miała dziecko, była znikoma. Nie myślała o tym braku w swoim życiu do dnia, gdy Nancie się do niej przytuliła.

- Tak czy owak muszę zrobić testament, nawet jeśli nie mam komu zostawić domu. Jestem ostatnia z rodu Coleridge'ów.

- Nie masz kuzynów?

- Tylko dalekich.

- Jednak to rodzina, a nic tak nie przyciąga dawno niewidzianych krewnych jak spadek.

- Nie w tym wypadku. Zapiszę dom na cele charytatywne. Przynajmniej nie będę miała poczucia, że kogoś oszukałam.

- Oszukałaś?

- Wychodząc za ciebie, żeby zachować dom.

- Nikogo nie oszukujesz, May. Gdyby twój dziadek nie dostał wylewu, byłabyś żoną Michaela Lintona.

- Może. - Była taka młoda, a on dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

Tej jednej rzeczy nie mogła powiedzieć o Adamie. Czy ratował ją z opresji, czyścił klatkę królików, czy przemywał jej rany, nigdy nie czuła się z nim bezpieczna. Ilekroć znajdowała się blisko niego, pękał mur, którym otoczyła się już w latach szkolnych. Wystarczyło jedno spojrzenie Adama i w murze pokazywała się wyrwa.

Nie czuła się bezpieczna, za to tak pełna życia, aż kręciło jej się w głowie, i choć on mógł tego nie zauważyć, jego siostra to dostrzegła.

- Miałaś jakieś wątpliwości? - zapytał.

- Wtedy nie. Małżeństwo z Michaelem było szansą ucieczki. Od dziadka. Z Maybridge. Od przypadkowych spotkań z Adamem.

- A teraz?

- Teraz wszystko to wygląda jak z powieści Jane Austen.

- Testament twojego dziadka pasowałby raczej do jednej z przygnębiających powieści George Eliot.

- No cóż, cokolwiek stanie się z tym domem w przyszłości, nie stanie się to z braku alternatywy, dlatego że ja nic nie zrobiłam. - Wskazała mu krzesło. - Jestem pewna, że niezawodny Jake ma to na liście, ale na wypadek, gdyby zapomniał, ty też musisz zrobić nowy testament.

- A to miłe.

- Ale bardzo ważne. - Nałożyła mięso z ziemniakami na talerz. - Małżeństwo unieważnia wszystkie poprzednie testamenty, co znaczy, że gdybyś wpadł pod autobus, większa część twojego majątku przypadłaby mnie - mówiła dobitnym tonem, chcąc, by ją zrozumiał. - Oczywiście nie zatrzymałabym tego.

- Dlaczego oczywiście?

- Masz rodzinę.
- Odziedziczyłybyś majątek, ale także długi - zauważył, biorąc od niej talerz.
- Adamie!
- Powierzyłabyś międzynarodową firmę mojej siostrze czy matce?
- Cóż...

- Sprzedałyby ją pierwszej osobie, która dałaby im gotówkę, podczas gdy ty z twoim poczuciem obowiązku i imperatywem Coleridge'ów, żeby trzymać się tego, co się ma, byłabyś cennym zarządcą mojego majątku.

May zakładała, że Adam żartuje - chociaż uwaga na temat przywiązania Coleridge'ów do ich własności stanowiła przytyk - a jednak patrzył na nią z powagą.

- Ożenisz się, będziesz miał dzieci - zaprotestowała.
- Żenię się z tobą, Mary Louise. Na dobre i na złe.
- Przysięgę muszą złożyć obie strony - rzekła z naciskiem.

Adam przez chwilę patrzył jej w oczy, potem kiwnął głową i zabrał się do jedzenia.

- Gdzie Robbie? - zmienił temat. - Nie je z nami?
- Dzisiaj w pubie jest wieczór quizów - odparła, nakładając sobie małą porcję, bo nie miała apetytu. - Chciała z niego zrezygnować, ale dziś jest półfinał, a jej drużyna jest faworytem.

- Nie ufa mi? Co ona ma zamiar robić? Spać przed drzwiami twojej sypialni?

- A musi? - zapytała May, a kiedy spotkała się z nim wzrokiem, w powietrzu aż zaiskrzyło.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ręka Adama z widelcem lekko zadrżała. Robbie nie jest głupia, pomyślał. Nie ma do niego za grosz zaufania, i to nie bez powodu.

- Weź sobie jeszcze piwo - powiedziała May. - Czy co tam chcesz.

- Nic mi nie trzeba, dziękuję - rzekł, a potem, nadziewając na widelec marchewkę, dodał: - Aha, wziąłem z torby w sieni dwie marchewki i dałem je osłowi i jego kumpelce. - Próbował wrócić do spraw przyziemnych. - Mam nadzieję, że to im nie zaszkodzi.

- Jack i Dolly nikomu nie przepuszczą - odparła May zadowolona, że Adam zmienił temat. - To niezły duet. Są nierozłączni. Patrzysz na największą frajerkę. Tę, która wzięła ich oboje.

- Założę się, że nie musieli się napracować tak ciężko jak ja - zauważył. - Wystarczyło, że Dolly żałośnie zameczała, a ty zmiękłaś jak wosk.

- W normalnych okolicznościach zmiękłabym jak wosk w twoich rękach - odparła i od razu się zaczerwieniła. - Przynajmniej Jack zjada trawę na padoku.

- A nie Dolly?

- Ona woli pędy jeżyny, a jak nikt nie patrzy, przegryzie też róże. - Może to na wspomnienie róż May zerwała się na równe nogi. - Nancie się obudziła. - Chwyliła monitor ze stołu. - Dołóż sobie. Ja mam już dość.

Zjadła nie więcej niż dwa kęsy, ale wybiegła z kuchni, a on nie próbował jej zatrzymać. Nie dlatego, że wierzył, iż dziecko wymaga natychmiastowej uwagi, ale ponieważ nagle każde słowo zdawało się mieć jakiś podtekst.

Dokończył kolację i sprzątnął ze stołu. Napełnił ekspres do kawy. Potem, gdy May nie wracała, poszedł na górę jej poszukać. Siedziała po ciemku, patrząc na śpiącą Nancie. Światło z podestu muskało jej policzki.

- May? - odezwał się cicho.

- Przepraszam. Zaniedbuję cię. - Wstała i zerkając na Nancie, dołączyła do niego. -

W lodówce jest *crème brûlée*...

- Co się stało z ciastem cytrynowym?

- Panie z kursu zjadły resztę do herbaty. Przykro mi. Najbardziej je lubiłeś.

- Tak? Nie pamiętam - skłamał. - Robię kawę.

- Czuj się jak w domu. W bibliotece znajdziesz barek.

- W bibliotece? - spytał z lekką ironią.

- To nie jest duża biblioteka. Oprowadzić cię po domu? Pewnie powinnam cię przedstawić przodkom.

- Jeżeli jesteś pewna, że się nie poprzewracają w grobach...

Podniosła na niego wzrok. Przez chwilę myślał, że May coś powie, ale ona odwróciła się i zeszła na dół. Ściany wzdłuż schodów obwieszane były portretami. Po drodze May wymieniała imiona przodków. Zatrzymała się przy portrecie młodej kobiety.

- To Jane Coleridge namalowana przez Romneya - wyjaśniła. - Kobieta, którą Henry Coleridge poślubił pod presją, wbrew swojej woli. To przez niego ta klauzula w testamencie.

- Jesteś do niej podobna - stwierdził. Miała ten sam kolor włosów, te same krągłości, te same bursztynowe oczy.

May pokazała mu pozostałą część domu. Ogromny salon i jadalnię, pełne mebli i obrazów, którymi zachwycaliby się fachowcy od antyków. Był też salonik, pokój dla pań i biblioteka z dużym biurkiem i podniszczonymi skórzanymi fotelami. May podeszła do biurka i otworzyła szufladę.

- Należały do dziadka. - Podała mu duży pęk kluczy.

- Od czego to?

- Drzwi od frontu, drzwi od tyłu, piwnica, chociaż teraz jej nie zamykamy. Brama do parku. - Było jeszcze sześć innych kluczy. - A ten do sejfu.

- Sejfu?

Za jedną z półek biblioteki znajdował się stary sejf.

- Są tam rodzinne dokumenty, biżuteria babki. Niewiele tego. Zostawiła ją mojej mamie, a ta sprzedała większość z przeznaczeniem na fundusz opieki zdrowotnej w Trzecim Świecie.

O ironio, pomyślał, przypominając sobie, w jakich okolicznościach zmarła matka May.

- Mogę zobaczyć obrączkę?

- Oczywiście.

Otworzyła sejf i podała mu małą aksamitną sakiewkę. Nie był pewien, czego się spodziewać. Wyobrażał sobie, że to coś wyjątkowego, skoro May się upiera, że będzie ją nosić. Tymczasem wyjął z sakiewki prostą złotą obrączkę, nawet bez daty czy inicjałów. To była obrączka wiążąca na całe życie. W czasach, gdy powstała, ludzie nie rozwodzili się z byle powodu, ale pozostawali wierni małżeńskiej przysiędze.

- Nie jest zbyt ozdobna - powiedziała przepraszająco.

- To twój wybór - odparł, żałując, że nie nalegał na kupno nowej obrączki.

Przyćmi prostotę obrączki pierścionkiem, który kupi May. Nie wspomniał jej o tym z obawy, że May zechce też nosić zaręczynowy pierścionek babki, jeśli oczywiście jej matka go nie spieniężyła.

Zdjął z kółka klucz do tylnych drzwi i ten od bramy do ogrodu i dodał je do swojego klucza, a pozostałe schował z powrotem do szuflady.

- Mogę ją pożyczyć? Żebym miał pewność, że moja obrączka będzie do niej pasowała?

Po ledwie zauważalnej chwili wahania May odparła:

- Oczywiście.

- Będę jej pilnował - zapewnił. - Napijemy się teraz kawy? Musimy zdecydować, gdzie urządzimy przyjęcie.

- W pokoju dziennym jest kominek. Przyniosę tam kawę.

May postawiła na tacy filiżanki, ciasto, dorzuciła kilka sztuk słodczy, które zrobiła na świąteczny targ. Byle tylko odsunąć ten moment, gdy znów znajdzie się z Adamem sam na sam. Gdy był obok niej, powracały wspomnienia wywoływane przez przypadkowe słowa. I róże...

Ilekcroć widziała róże, przypominała sobie Adama, który patrząc w jej okno, wołał ją głośno, nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo. Gdy jej dziadek skierował strumień wody prosto w pierś Adama, przez krótką przerażającą chwilę myślała, że ta czerwień to krew. Próbowwała krzyczeć, lecz głos uwiązł jej w gardle. Bała się, że Adam

zginął. Dopiero dużo później, gdy zapadła ciemność i wszyscy poszli spać, wymknęła się na zewnątrz i pozbierała płatki róż przy świetle latarki.

Adam wyciągnął się przed kominkiem. Jego mieszkanie było luksusowe, czyste, minimalistyczne. O takim właśnie marzył, żyjąc w ciasnym zapchanym domu z matką i siostrą. Było też całkowitym przeciwieństwem tego pokoju z meblami, które liczyły sobie setki lat. Za to panował tu przyjazny klimat, który zachęcał do tego, by wygodnie usiąść. Skoro już dotarłeś do tego domowego azylu, to znaczy, że jesteś mile widzianym gościem.

Kiedy May weszła z tacą, Adam poderwał się, ale ona pokręciła głową.

- Dam sobie radę. - Postawiła tacę na stoliku przy kanapie. - Nadal pijesz czarną bez cukru?

- Tak. - Zapamiętała?

- Masz ochotę na kawałek ciasta Robbie? - Postawiła obok niego filiżankę. Podała mu talerzyk. - Czy może to?

- To twojej roboty?

- Specjalność świąteczna. Bożonarodzeniowa Śnieżna Kula z niespodzianką. Biała czekolada i żurawinowa krówka obsypane wiórkami kokosowymi.

Adam włożył kulkę do ust.

- Nie wspomniałaś, że jest tam rum.

- To niespodzianka - odparła, ale w jej uśmiechu było znużenie. Adam zobaczył cienie pod jej oczami.

- Dobrze się czujesz, May? - spytał. Poruszyła ramionami.

- Jestem trochę zmęczona. Pewnie jednak ten upadek daje mi się we znaki.

- Boli cię? - Delikatnie dotknął jej ramienia, a ona się skrzywiła. - Powinnaś zrobić prześwietlenie.

- To tylko nadwyreżony mięsień. Przejdzie mi, jak się wymoczę w wannie. - Zanim zaprotestował, dodała: - Niestety telewizor jest stary, ale działa. Robbie sprawdzi zamki i włączy alarm, jak wróci.

- Gdzie jest jej pokój? - zapytał.

Wtedy wreszcie May uśmiechnęła się szeroko.

- Nie martw się. Nie wpadnie na ciebie w lokówkach. Ma swoje mieszkanie na dole. Masz wszystko, czego ci trzeba?

Kiwnął głową i dotknął jej policzka.

- Daj mi monitor. Zjrę do Nancie, jak się obudzi.

- Nie, jutro czeka cię długi lot. Musisz się wyspać, ale i tak będziesz cierpieć z powodu różnicy czasu.

- Kiedy po to tu jestem - zaproponował.

- Tak? - zapytała, jakby zapomniała o jego obietnicy, że będzie czuwał nad Nancie nocami. - Już się wykazałeś, składając meble. O której wyjeżdżasz?

- Samochód przyjedzie po mnie o dziewiątej.

- Nie wiedziałam, że tak wcześnie.

- Przy śniadaniu zdążymy omówić szczegóły związane ze ślubem. Idź i wymocz te swoje obolałe mięśnie.

Adam nie mógł zasnąć. Powiesił garnitur w ogromnej szafie zrobionej z dębów, które rosły w siedemnastym stuleciu. Brudną bieliznę wrzucił do kosza. Wymoczył zmęczone kości w dużej wiktoriańskiej wannie, która, gdy ją instalowano, była bardzo nowoczesna. Na ramieniu odkrył siniaki, identyczne jak siniaki May. Nic dziwnego, w końcu spadła na niego dorosła kobieta.

Potem wyciągnął się w świeżej pościeli na łożu z baldachimem. Leżał i czekał, aż ogarnie go uczucie triumfu. Tymczasem jego myśli krążyły wyłącznie wokół May.

May, która nie narzekała, choć z pewnością była obolała. May, która drżała pod jego dotykiem. Wolałby leżeć z May w ramionach wśród falbanek jej pościeli, niż w lodowatym przepychu łoża Jamesa Coleridge'a.

Dzwonek telefonu wyrwał May ze snu. Omal nie spadła z łóżka, rzucając się na słuchawkę, by hałas nie obudził Nancie.

- Słucham?

- May...

- Saffy! Gdzie jesteś? Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku. Co z Nancie?

- Dobrze. Jest wspaniała, ale co z tobą? Dlaczego nie przyszedł prosto do mnie?
Wiesz, że bym ci pomogła.

- Minęło sporo czasu...

- Przyjedź teraz. Adam jest zrozpaczony. Poproszę go...

- Jest tam?

- Został tu z Nancie - odparła, nie tłumacząc przyjaciółce wszystkiego. - Mam mnóstwo miejsca, powinnaś być z Nancie - powiedziała szybko.

Zanim dokończyła, stwierdziła, że nikt jej nie słucha.

Wybrała 1471, by sprawdzić, z jakiego numeru dzwoniła Saffy, ale jej numer był zastrzeżony.

- Nie było powodu, żebym cię budziła - zaprotestowała May, widząc złość Adama.

- Nic nie mógłbyś zrobić.

W kuchni panował harmider. Nancie marudziła na rękach May, kura gdakała na koty, pies szczekał, z radia płynęła jakaś sentymentalna świąteczna piosenka. Adam zgasił radio.

- Nie o to chodzi.

Przez większą część nocy nie spał, a gdy wreszcie zasnął, męczyły go sny, których teraz nie pamiętał, i zasnął. Był zły, jakby go osa ugryzła. May włożyła mu do ręki szklankę soku z pomarańczy.

- Masz, wypij.

Wypił sok jednym haustem i odetchnął. Gdyby wiedziała, że nie spał i że słyszał dzwonek telefonu, spytałaby, dlaczego nie przyszedł dowiedzieć się, o co chodzi. Nie mógł jej wyznać, że leżał na twardym materacu Jamesa Coleridge'a, wyobrażając sobie, jak May w środku nocy rozmawia czule z Davidsonem. Jak go zapewnia, że jej ślub to tylko formalność. Że za rok będzie znów wolna. Że jeśli zachowają dyskrecję...

Przecież tak zachowują się kochankowie. Dzwonią do siebie w nocy, kiedy nie mogą spać. Nie przeszło mu nawet przez myśl, że to może być Saffy. Zdał sobie sprawę, że w ogóle o niej nie myślał. Ani o jej dziecku.

May oskarżyła go, że myśli wyłącznie o sobie, i miała rację.

- Daj mi ją. - Odebrał od niej dziecko.

Policzki Nancie były zaróżowione, czarne loki zmierzwione. Przyszła piękność. Dziecko jego siostry.

Złożył jej w duchu obietnicę, że cokolwiek się stanie, on zrobi wszystko, by jej życie ułożyło się inaczej niż życie jej matki. Że zawsze będzie się czuła kochana i bezpieczna.

- Nie bój się, kochanie. - Przytulił ją. - Znajdziemy twoją mamę, a na razie May postara się być dla ciebie dobra, jak mnie nie będzie. Umowa stoi?

- Zwymiotuje ci na koszulę - ostrzegła go May, kiedy Nancie się w niego wtuliła.

- Spioreę to. - Zmarszczył czoło. - Skąd Saffy ma twój numer? Też jest zastrzeżony.

- Kiedyś jej dałam. Jeśli znów zadzwoni... Może lepiej, że cię nie będzie.

Rozłączyła się, jak powiedziałam, że cię zawołam.

Zabrzmiało to jak wyrzut. Zasłużył sobie na to. Tak bardzo starał się zdystansować od rodziny, że siostra bała się do niego odezwać.

- Jeżeli znów zadzwoni, postaram się ją namówić, żeby tutaj przyjechała - podjęła May. Kiedy usłyszeli dzwonek do drzwi, zerknęła na zegarek. - O Boże, twój samochód, a ty nawet nie zjadłeś śniadania. Zwykle nie jestem tak roztrzepana.

- Zwykle nie masz dziecka pod opieką. Zjem coś na lotnisku. Gdybyś czegoś potrzebowała, masz numer Jake'a. On wie, jak mnie znaleźć. - Pocałował Nancie i oddał ją May. - Nie uzgodniliśmy, gdzie urządzimy przyjęcie.

- Czy to ważne? - zapytała. Potem, zdając sobie sprawę, że jest niewdzięczna, dodała: - Może zostawmy to Jake'owi? Niech nam zrobi niespodziankę.

- Jeśli chcesz. - Wziął swoją walizkę, a May ruszyła za nim. - Nie odprowadzaj mnie do drzwi. Jest zimno.

- Uważaj na siebie.

- Będę uważał na nisko latające autobusy...

Po jego wyjściu wszystko ucichło. Kura przestała dręczyć koty, które zajęły się toaletą. Pies położył łeb na łapach. Nancie westchnęła na ramieniu May.

Nie myśląc o śniadaniu, May wzięła ją na górę.

- Okej, maleńka. To będzie przygoda dla nas obu. - Napełniła wanienkę wodą i sprawdziła temperaturę. - Obiecuj, że będziesz grzeczna.

Dziesięć minut później przemoczona May włożyła dziewczynce różowe aksamitne ogrodniczki, położyła ją do łóżeczka i włączyła relaksacyjną muzykę. Właśnie skończyła wycierać podłogę w łazience i przebrała się, kiedy Robbie wsadziła głowę do środka.

- Droga wolna?

- Słucham?

- Poszedł?

- Adam? Pół godziny temu. Gdzie się chowałeś, jak cię potrzebowałam? Nigdy dotąd nie kapałam dziecka.

- Pora się nauczyć. Karmiłam zwierzęta i zobacz, co znalazłam obok Jacka i Dolly.

Otworzyła szerzej drzwi, odsłaniając kobietę owiniętą grubym płaszczem, w chustce na głowie, zerkającą na nią przez okulary w grubych oprawkach. Kogoś jej przypominała, jak ta kobieta w parku minionego dnia.

- Witaj, May.

- Saffy!

- Zrobię herbatę - oznajmiła Robbie i zostawiła je same.

- Więc wczoraj to byłaś ty.

- Nie chciałam zostać. Zamierzałam wracać do Francji, skonfrontować się z Michele. Chciałam się tylko upewnić, że Adam przywiózł do ciebie Nancie. Ten głupek zostawił ją na ścieżce, ktoś mógł ją zabrać.

- To samo mu powiedziałam. Nakrzyczałam na niego.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się. - Zawsze na niego krzyczałaś. Stąd się domyśliłam, że go lubisz. Dlatego zmusiłam go, żeby cię zaprosił na dyskotekę. Chciałam tylko, żebyś się dobrze bawiła.

- Wiem. - Gdyby była odważniejsza, nie ukrywała swojej przyjaźni z Adamem, gdyby jej dziadek miał szansę go poznać... - Cały czas tu jesteś?

Saffy skinęła głową, a May zmarszczyła czoło.

- Nie rozumiem. Jeśli zamierzałaś spotkać się z Michele...

- Straciłam zimną krew. Myślałam, że mnie aresztują, że policja może mnie szukać w biurze Adama. Trochę krążyłam tu i tam. Kupiłam coś do jedzenia. Długi czas siedziałam w bibliotece.

- Czemu, na Boga, nie przyszedłaś do mnie?

- Bo jestem poszukiwana. Nie chciałam, żebyś miała przeze mnie kłopoty.

- Och, chodź tutaj. - May wyciągnęła ręce i przytuliła Saffy.

- Próbowałam spać w parku, ale było za zimno. Okazało się, że brama do waszego ogrodu jest otwarta, więc pomyślałam, że nie będzie ci przeszkadzać, ale jak powiedziałaś, że Adam tu jest... Będzie na mnie zły...

- Nawet w połowie nie tak jak ja na niego - odrzekła May, a potem się odsunęła. - Saffy, cuchniesz kozą. Zdejmuj to wszystko i weź kąpiel, zanim zbliżysz się do swojej ślicznej córeczki.

Adam właśnie dotarł na lotnisko, kiedy zadzwoniła jego komórka. Numer był zastrzeżony.

- Saffy?

- Adam...

- May! - Właśnie próbował zapomnieć o jej kuchni. Głośnej, pełnej życia i ciepła, w przeciwieństwie do jego sterylnej egzystencji.

Nie brakowało mu towarzystwa, ale umawiał się na randki z kobietami, które bardziej interesowało to, by znaleźć się na stronach plotkarskich magazynów, niż jakiegokolwiek domowe zajęcia. Jego siostra zawsze pragnęła być taką właśnie kobietą. Jedyne niezmienny wymóg, jaki Adam im stawiał, to żeby w niczym nie przypominały mu May.

Niespodziany dźwięk jej głosu sprawił, że poczuł się, jakby go dotknęła. Wystarczył jeden dzień w jej towarzystwie i zaczęło mu grozić, że ulegnie czarowi, który na niego rzuciła, gdy był zbyt młody, by chronić się przed związanym z tym bólem.

- Jakiś problem? - zapytał chłodno.

- Nie. Chciałam ci tylko powiedzieć, że jest tu Saffy.

Ogarnęła go wielka ulga. I wdzięczność.

- Miałaś rację. Była niedaleko. Mogę z nią mówić?

- Bierze teraz kąpiel, potem ją nakarmię i położę do łóżka.

- Więc nie. - Czego się spodziewał? Przez lata trzymał ją na dystans. Wiedziała, że nie chce jej widzieć, przypominać ludziom, skąd się wziął. - Poproszę Jake'a, żeby zorganizował prawnika od prawa rodzinnego. Spróbuję jej pomóc.

- Jest weekend. Do poniedziałku nic się nie wydarzy. Pozwól, że z nią porozmawiam, dowiem się, co się stało. Jeśli da się to wyprostować, sama zadzwonię do Jake'a.

- Cholera jasna...

- Dla ciebie teraz najważniejsza jest podróż. Nie zaszkodzi najpierw spróbować załatwić to polubownie.

- Ty wiesz lepiej. - Niewątpliwie miała rację. Łagodne słowa mogą okazać się skuteczniejsze niż atak. Nie trzeba by mu było tego mówić, gdyby chodziło o negocjacje biznesowe. Ale jego najbliżsi nigdy nie byli w tym dobrzy. - Spróbuj to zrobić po swojemu, ale powiedz Saffy, że ma poczekać na mój powrót.

- O tak, na pewno cię posłucha.

- May! Martwię się o nią. Poproś, żeby została, dopóki nie wrócę.

- To już lepiej.

- Jesteś doradcą rodzinnym? - Milczała. - Powiedz jej, że nie jestem na nią zły. Że cieszę się, że jest bezpieczna.

- No, no.

- Sarkazm do ciebie nie pasuje, panno Coleridge.

- Zapomnij, że to twoja siostra. Myśl o niej jak o wystraszonem stworzeniu, które znalazłeś - powiedziała, powtarzając słowa, których użył, przekonując ją, by zaopiekowała się Nancie. - I przyniosłeś do mnie.

- Niech to szlag! - Kpi sobie z niego? - Zrób, jak chcesz - rzucił i rozłączył się.

Terminal huczał od rozmów i odgłosu walizek na kółkach ciągniętych po podłodze. Pasażerowie szukali stanowisk odprawy, zmęczeni, ale z radością wyczekujący upragnionych wakacji czy spotkania z rodziną. Adam spojrzął na telefon, pokręcił głową i wybrał numer May.

- Adam?

Ze sposobu, w jaki wypowiedziała jego imię, odgadł, że nie ruszyła się z miejsca. Czekala na jego telefon. Nie mógł się zdecydować, czy jest zły, że May tak dobrze go zna, czy czuje ból, że coś cennego zostało stracone na zawsze.

- Powiedz Saffy - zaczął - że cokolwiek się stanie, może na mnie liczyć. Nie pozwolę, żeby odebrano jej Nancie.

- I że nie będziesz na nią krzychał?

- Jesteś trudnym negocjatorem, Dzielną Myszko. Ale teraz masz pod opieką dwójkę dzieci.

Milczała, a on po chwili się roześmiał.

- Okej, zrobię, co mogę, ale musisz być blisko, żeby mnie szturchnąć, jak się zapomnę.

- Z przyjemnością - odparła. Ona także się śmiała, a on cieszył się, że zadzwonił.

- Muszę kończyć.

- Tak, uważaj na siebie, Adamie.

- May...

- Tak?

- Zadzwonię rano. Może do tej pory wyciągniesz coś od Saffy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

May oddała swój pokój Saffy i pożyczyła jej nocną koszulę, bo Saffy nie miała żadnego bagażu. Wybrała jej też coś do ubrania ze swojej szafy.

Saffy spała prawie cały dzień, budziła się tylko, gdy Nancie płaczem domagała się karmienia. Leżały razem przytulone w jednym łóżku.

May i Robbie starały się nie hałasować. Szykowały pokoje dla kolejnej grupy gości, którzy mieli się zjawić w następny piątek na trzydniowy kurs projektowania ogrodów. Potem May wzięła Nancie na spacer. W drodze do miasta, by kupić bieliznę dla Saffy, rozklejała plakaty ze zdjęciem małego kota na latarniach w parku.

Wieczorem Saffy poczuła się lepiej. Robbie wybrała się do kina z koleżanką i zostawiła je same.

- Naprawdę kocham Michela - rzekła Saffy, opowiedziawszy, jak go poznała, jaki jest przystojny i romantyczny. - Chodzi o jego matkę. Nigdy mnie nie lubiła. Jest straszną snobką. Zrobiła wszystko, żeby nas rozdzielić, a kiedy jej się nie udało, zaczęła grzebać w mojej przeszłości. Powiedziała Michelowi, że stanowię zagrożenie dla Nancie.

- Pytał cię o przeszłość?

- Oczywiście, i wszystko mu wyznałam. Prócz tego, że o mały włos nie znalazłam się w więzieniu i ty mnie uratowałaś.

- Nie możesz się ukrywać, Saffy. Michel też ma swoje prawa. Na pewno umiera ze strachu. Nie tylko o dziecko.

- Byłam przerażona.

- Rozumiem. Myślisz, że gdybym z nim porozmawiała, to by pomogło?

Saffy nie od razu dała się przekonać, ale po godzinie, zapłakana, rozmawiała z Michelelem przez telefon, zapewniając go o swojej miłości.

Adam zadzwonił wreszcie o dziesiątej rano.

May prawie nie spała, podskakiwała za każdym razem, gdy dzwonił telefon. Za pierwszym razem to był Jake, który chciał jej powiedzieć, że Adam doleciał po dziesiątej wieczorem, i pytał, czy May czegoś potrzebuje.

Ale głównie dzwonił Michel, który zapewniał Saffy o swojej miłości. Najwyraźniej perspektywa, że ją straci, przywróciła mu rozum.

- Próbowałem wcześniej, było zajęte.

- To francuski kochanek.

- Rozmawiali z sobą?

- Bez końca. Zaproponowałam, żeby przyjechał. Wahał się, więc podejrzewam, że boi się rodziców. *Maman* sprawia wrażenie potwora.

- Nadopiekuńczość to nie jest najgorsza cecha matki.

- Racja.

- Przepraszam. Myślałem o sobie.

- Nie ma za co. Jak lot?

- Długi, nudny, oglądałem film. Jedzenie było koszmarne.

- Masz przed sobą kolację u prezydenta.

- Dopiero pod koniec tygodnia. - Przedstawił jej swoje plany. - No, muszę lecieć.

Odezwę się później. Uważaj na siebie.

- Ty też. - Kiedy się wyłączył, przyłożyła telefon do piersi.

Adam dzwonił każdego ranka i rozmawiał nie tylko z May, ale także z Saffy. Co wieczór dzwonił na komórkę May, kiedy była już w łóżku. Przekazywała mu najnowsze wieści na temat francuskiego kochanka i jego matki. On mówił jej, co robił. Słowa nie były ważne. Ważne, że słyszała jego głos.

May szykowała się na przyjazd gości i zajmowała się pilnym zamówieniem na cukierki, gdy znów zadzwonił telefon. Tego ranka dzwonił już po raz dziesiąty. Ogłoszenie o ich ślubie ukazało się właśnie w „The Times”. May zasypywano pytaniami. Tylko Adam się nie odezwał.

- Tak? - warknęła do słuchawki.

- No! Kiepski ranek? - zapytał Adam.

Nastrój May natychmiast się poprawił.

- Można tak powiedzieć. Jestem zajęta. Michel z rodzicami przyjeżdża po południu.

- Co?

- To mój pomysł. W końcu wyznał swojej *maman*, że pogodził się z Saffy i chce się z nią ożenić.

- Lepiej późno niż wcale.

- Jego matka nadal uważa, że Saffy coś knuje, że nie jest warta tego, by czyścić buty jej synkowi, nie wspominając już o wychowywaniu wnuczki. Zamierzam zmienić jej myślenie, udowodnić, że Wavellowie mają koneksje. Robbie i Saffy polerują srebra.

- Pokażesz im, co znaczy angielski wiejski dom?

- Tak jest. Najlepsze kryształy, porcelana Royal Doulton, Patsy w białym fartuszkach będzie podawać do stołu. Włożę zaręczynowy pierścienek babki, żeby podkreślić, że Saffy zostanie moją szwagierką.

Zapadła cisza. Przez moment May słyszała tylko jakiś szum i myślała, że straciła połączenie.

- Twoja matka go nie sprzedała?

- Nie. Jane Coleridge ma go na palcu na portrecie Romneya, zwrócę im na to uwagę, pokazując przodków. Zwałę ich z nóg wiekami tradycji.

- O ile nie pomyślą, że nie stać mnie na kupno pierścienka.

- Adamie...

- Masz wszystko pod kontrolą, jak widzę. Zadzwoń później, powiesz mi, czy udało ci się zawrzeć kolejne *entente cordiale*.

Rozłączył się. May powoli odłożyła słuchawkę. Adama wyraźnie zirytował temat pierścienka zaręczynowego. Nie ma jednak sensu się tym martwić, bo jeśli chce zrobić wrażenie na rodzicach Michela, przyjąć ich herbatą w salonie, umieścić ich w głównej sypialni, podać na kolację tradycyjne brytyjskie dania, tak by Francuzi zzielenieli z zazdrości, nie ma ani chwili do stracenia.

- Obudziłem cię?

- Nie. - May chwyciła telefon po pierwszym dzwonku. Siedziała jak na szpilkach, niepewna, czy Adam zadzwoni. - Właśnie padłam na łóżko. Chciałam przygotować wszystko na śniadanie w oranżerii, zanim się położę.

- Jak poszło?

- Zęby mnie bolą od uśmiechów. - Prawdę mówiąc, bolały ją wszystkie mięśnie, bardziej z napięcia niż z wysiłku. - Ale w dobrej sprawie. *Maman* Michela chyba w końcu przekonała się do Saffy.

- To musiałaś się sporo natrudzić.

- Chyba decydującym argumentem było to, że dziadek był sędzią pokoju. No i może łóżko z baldachimem.

- Położyłaś ich w moim łóżku?

- W głównej sypialni - odparła ze śmiechem. - Wygrzebałam zdjęcia Księcia Walii z autografem, które książkę dał mojemu pradziadkowi w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym, i postawiłam je na toaletce. No i oczywiście pokazaliśmy im naszą gwiazdę.

- Nancie?

- Świetnie się spisała. A ja mówiłam o tobie. *Maman* nie miała pojęcia, że brat Saffy jest milionerem i prezesem firmy importującej kawę, bez której *maman* nie może żyć.

- Och.

- Jak mogła się oprzeć? Inna sprawa, czy mi podziękujesz, jak zostaną twoją rodziną. Michel i jego ojciec są nadzwyczaj przystojni, ale pod pantoflem *maman*.

- Dlaczego, May?

Układała się pod kołdrą, senna i ucieszona, że może się z nim podzielić swoim triumfem.

- Co dlaczego?

- Dlaczego zadałaś sobie tyle trudu dla Saffy?

- Ja nie... - Nie robiła tego dla Saffy, tylko dla niego.

- Co was łączy?

- Nic ci nie mówiła?

- Moja siostrzyczka uwielbia tajemnice. To daje jej poczucie siły.

- W szkole byłam zastraszana. Grupa dziewcząt kradła mi pieniądze na lunch. Zabierały mi torbę, wyrywały kartki z moich książek, aż dałam im wszystko, co miałam.

- Czemu nie powiedziałaś o tym wychowawcy?

- Mała biedna bogata dziewczynka miałaby biec po pomoc do nauczyciela? Stałabym się popularna.

- Więc dziadkowi?

- Odpowiedziałby: A nie mówiłem? I zabrałby mnie z tej budy. Zawsze chciał mnie wysłać do prywatnej szkoły z internatem.

- Może powinnaś była go posłuchać. Wydawało mi się, że szkoła nie bardzo ci się podobała.

- To prawda. Ale nie zniosłabym, gdyby mnie wysłał gdzieś daleko. Nie miałam matki ani ojca. Miałam tylko ten dom. I zwierzęta.

- Dlaczego zwróciłaś się do Saffy?

- Nie zwróciłam się do niej. Pewnego dnia czekała na mnie przy bramie szkoły. Nie powiedziała słowa, tylko wzięła mnie pod ramię, jakby była moją przyjaciółką. Szczerze mówiąc, byłam przerażona. Wiedziałam, że chodziła z tamtymi do tej samej podstawówki.

- Była dość okropna - przyznał.

- Myślałam, że to jakaś nowa tortura, ale ona została moim ochroniarzem. Przyprawiała mnie do szkoły i odprowadzała, spędzała ze mną przerwy, aż tamte zrozumiały, że jestem chroniona i nie wolno mnie tknąć.

- Dlatego wiedziała, że zaopiekujesz się Nancie? Bo byłaś jej to winna?

- Spłaciłam dług dawno temu... - Urwała, zdając sobie sprawę, że powiedziała więcej, niżby chciała. - To stara historia - mruknęła wymijająco. - Jak ci minął dzień? Wczorajem mówili coś na temat Samindery w telewizji, ale miałyśmy tu zamieszanie.

- Pewno na całym świecie w wiadomościach mówili, że jadłem kolację z prezydentem.

- Ale wszystko jest w porządku?

- Dłoń jego ekscelencji nie drżała, kiedy trzymał kieliszek.

- A co jadłeś? - zapytała, a on opowiadał jej o oficjalnej kolacji, niekończących się przemowach. Wiedział, co ją rozbawi. Kiedy odpowiadała coraz sennie, rzekł: - Śpij już, Myszko. Powiedz Saffy, że zadzwonię do niej rano. I że po powrocie będę chciał porozmawiać z Michele.

- Kiedy wrócisz? Za trzy dni? - Nie widziała go już prawie dwa tygodnie. - Będziesz grał rolę starszego brata i wypytywał go o zamiary?

- Chyba już okazał, jakie ma zamiary. Chcę tylko się upewnić, że to nie skończy się jakimś bolesnym przeciąganiem liny. Saffy może jest trochę głupia, ale to moja siostra i nikt nie zabierze jej dziecka.

- Prawdę mówiąc, wspomniała, że wyjedzie jutro razem z nimi.

- Pokaż jej moją kartę kredytową. Poproś, żeby poszła z tobą na zakupy.

- Za późno. Wyciągnęła mnie na zakupy już kilka razy, chociaż nie jestem przekonana, czy interesuje ją moja wyprawa ślubna czy jej własna.

- Mam nadzieję, że sprawiałaś przyjemność sobie, a nie Saffy.

- Ona ma na mnie zły wpływ.

- To brzmi obiecująco.

May miała teraz własną parę butów na idiotycznie wysokich obcasach. I prawie straciła głowę w sklepie z bielizną. Nie robiła tego z premedytacją, zastanawiając się, jak to podziła na Adama. Przecież oznajmił, że ich małżeństwo będzie papierowe. Ale przynajmniej poczuła się seksowna. I taka wysoka...

- W każdym razie powiedz, że chcę ją zobaczyć. I moją matkę.

- Zaprosiłam je na ślub.

Zapadła cisza. Potem Adam powiedział:

- No to ucieknijmy i pobierzmy się w tajemnicy.

Adam siedział na skraju łóżka, w uszach wciąż słyszał śmiech May. Wyobrażał ją sobie w białej pościeli. Gdyby była przytomna, nie wymknęłoby się jej, że już spłaciła dług Saffy. Ale on nie musiał naciskać, by wyznała mu prawdę. On ją znał. Policja przeprowadziła nalot na klub i Saffy przyłapano z kilkoma tabletkami ekstazy w torebce.

To nie był pierwszy raz, gdy jego siostra znalazła się w tarapatkach. Złapano ją na kradzieży w sklepie, na picciu alkoholu. Wykazywała wszystkie klasyczne symptomy młodego człowieka, który chce zwrócić na siebie uwagę. Ale ta sprawa była naprawdę poważna.

Saffy przysięgała, że tabletki są dla znajomych, którzy dali jej pieniądze. Kiedy Adam się o tym dowiedział i wściekł się na nią, wrzuciła ramionami. Powiedziała, że

sprawa jest załatwiona. Dwa tygodnie później, gdy dostała wezwanie na policję, wyszła stamtąd tylko z ostrzeżeniem. Miała już kartotekę, ale na tym się skończyło.

Zawdzięczała to May, która poszła do dziadka i się za nią wstawiła. Czego zażądał od niej w zamian?

Nigdy nie wróciła do szkoły. Plotka głosiła, że wyjechała do jakiejś szkoły z internatem. Adam uwierzył w to, miał nadzieję, że właśnie z tego powodu do niego nie dzwoniła. Aż ujrzał jej zdjęcie w lokalnej gazecie, gdy wraz z dziadkiem uczestniczyła w jakiejś imprezie charytatywnej. Więc porzuciła też jego, by ratować Saffy, której groziło minimum trzy miesiące więzienia, gdyby sprawa trafiła do sądu pokoju. O wiele więcej, gdyby ją odesłano do Sądu Koronnego. Do czego niewątpliwie by doszło.

May się poświęciła. Dla jego siostry, a może i dla niego, zrezygnowała ze swojej wolności. Zachęcano go, by złożył papiery do Oxfordu, ale on musiał być blisko, by opiekować się matką i siostrą. Chciał skorzystać z oferty, jaką dostał z Uniwersytetu Melchester. Nie wątpił, że James Coleridge mógł pozbawić go tej szansy.

Czy to właśnie próbowała mu powiedzieć May, stojąc w oknie i kręcąc głową, gdy ją wołał? Jęknął i zsunął się na podłogę, przypominając sobie, jak sięgnął po tomik sonetów. Wypadł z niego płatek czerwonej róży. Rozpoznał go i dotknął, a na jego palcach pozostał czerwony pył...

Gdyby za pierwszym razem, kiedy ich drogi skrzyżowały się na jakiejś imprezie charytatywnej, schował dumę do kieszeni i ignorując chłód May, wyciągnął do niej rękę, jak długo czekałby na jej dłoń?

Tyle że on nie miał nic prócz dumy i trzymał się jej jak bluszcz zwiędłego dębu. Musi z nią porozmawiać. Powiedzieć jej, że mu przykro.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy May zapadała w sen. Wyciągnęła rękę i szukała go po omacku.

- Tak?

- May...

- Adam? Coś się stało?

- Nie... Tak...

Słyszała jakiś hałas w tle.

- Co to?
- Błyskawice. Nie śpisz?
- Nie. - Usiadła na łóżku. - Co się stało?
- Wszystko... Cholera, światło zgasło.
- Adam? Wszystko w porządku?
- Tak. To się zdarza. Nieważne. - Urwał, a ona słyszała jakieś krzyki i hałasy.
- Adam!
- Zaczekaj, jakiś idiota wali w moje drzwi. Nie rozłączaj się, to ważne...

Jego słowa zagłuszył huk wybuchu. Potem zapadła martwa cisza.

May, blada jak ściana, znieruchomiała przed ekranem telewizora. Na pasku widniała wiadomość o próbie zamachu stanu w Saminderze. Pokazywano zdjęcia pałacu prezydenckiego i płonącego hotelu. Liczba ofiar była nieznana, wielu cudzoziemców uznano za zaginionych. Gwałtowne walki utrudniały łączność.

Robbie owinęła May pledem, rozpałała w kominku i zaparzyła herbatę. Wiedziała, że nie ma sensu nic mówić.

Jake zadzwonił w drodze do biura, gdzie dyrektorzy zwołali zebranie, i obiecał dać jej znać natychmiast, gdy tylko czegoś się dowie.

Goście z Francji w końcu wstali, a kiedy usłyszeli, co się stało, uściskali May i Saffy i szybko coś powiedzieli po francusku. May niewiele z tego zrozumiała, ale było jasne, że chcą ją zapewnić, iż teraz wszyscy są rodziną.

Michel siedział, trzymając rękę Saffy, z Nancie na kolanach, i razem oglądali wiadomości. Patrząc na nich, May czuła się jeszcze bardziej samotna.

Na dźwięk telefonu zerwała się na równe nogi. Dzwonił Freddie. Widział ogłoszenie o jej ślubie.

- Nie będzie ślubu - powiedziała i rozłączyła się.
- May! - zawołała Saffy. - Nie mów tak. Adam żyje.
- Nie. - May objęła się ramionami, patrząc na pokazywane na ekranie zdjęcia, i kołysała się tak, jak to robiła po śmierci ukochanego psa w dzieciństwie. - Dzwonił w nocy. Rozmawiałam z nim, kiedy... Usłyszałam wybuch, tam, gdzie on był. On nie żyje. Teraz nigdy się nie dowie. Powinnam była mu to powiedzieć, Saffy.

- Co? Mówiłaś, że wychodzisz za niego, żeby uratować dom. - Nagle zrozumiała. -
O rany. Ty go kochasz.

May bez słowa przytuliła się do niej, a Saffy głaskała ją po plecach jak dziecko.

Kiedy Adam odzyskał przytomność, leżał twarzą do ziemi. W uszach mu dzwoniło, powietrze było gęste od duszącego pyłu. Podniósł się i oparł się o coś, czego nie widział. Eksplozja gdzieś w pobliżu na moment rozjaśniła pokój. Jediną znajomą rzeczą był telefon komórkowy, który Adam wciąż ścisnął w dłoni. Rozmawiał z May. Miał jej powiedzieć coś ważnego, ale ktoś walił w drzwi...

Przyłożył telefon do ucha.

- May?

Zaczął kaszleć, pył wpadł mu do gardła.

- May, jesteś tam jeszcze?

Żadnej odpowiedzi. Nacisnął przycisk oddzwaniania i ekran się rozjaśnił. Brak zasięgu.

Przeklął. Musi znaleźć działający telefon. Musi porozmawiać z May. Powiedzieć jej, że był głupi, że ją kocha. Zaczął się czołgać, oświetlając sobie drogę komórką.

May zgasiła telewizor. Pokazywano W kółko to samo. Eksperci od tamtego regionu świata, byli ambasadorzy, komentatorzy polityczni dzień po dniu zapełniali całodobowy kanał informacyjny tymi samymi informacjami, które nie wносиły nic nowego. Dowiadywano się, że walki są gwałtowne, że informacja ogranicza się do propagandy rządowej i kontrpropagandy rebeliantów. Że liczba ofiar jest duża i że Adam Wavell, który w Saminderze negocjował ważny kontrakt, znajduje się wśród osób zaginionych.

- Wyjdź na spacer, Saffy - powiedziała May. - Weź Nancie na powietrze. A jeszcze lepiej jedź do Paryża. Nic tu z Michelelem nie zdziałacie.

Robbie i Saffy wymienili spojrzenia.

- May...

- To tylko kolejny dzień.

Nie dzień jej ślubu. Który nigdy nie nadejdzie.

To bez znaczenia. Oddałyby swój dom i wszystko inne za wiadomość, że Adam jest bezpieczny.

Kiedy zadzwonił telefon, May aż podskoczyła, lecz nie pobiegła odebrać. Przestała to robić po kilku pierwszych dniach, gdy jeszcze miała nadzieję, że Adam przeżył.

Teraz wiedziała, że ktoś dzwoni z wiadomością, której nie chce słyszeć. Że znaleźli jego ciało w ruinach luksusowego hotelu. Robbie podniosła słuchawkę.

- Dom Coleridge'ów.

Zmarszczyła czoło, a potem bez słowa przekazała telefon May.

- Adam... - Zakręciło jej się w głowie. Robbie posadziła ją na krześle. - Gdzie jesteś?

- Bóg jeden wie. Hotel... rebelianci... przepraszam... ślub...

Ledwie go słyszała, ale to się nie liczyło. Wystarczyło, że słyszała jego głos. Adam żyje!

- Nie myśl o ślubie. Ważne, że jesteś bezpieczny. Słyszysz mnie? - Podniosła wzrok. - Połączenie się przerwało - oznajmiła i wybuchnęła płaczem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Adam czołgał się przez zniszczony hotel, oświetlając sobie drogę telefonem. Po drodze pomagał rannym przenieść się do sutereny. Potem poszedł szukać wody. Apteczki. Czegokolwiek. Tymczasem natknął się tylko na grupę rebeliantów, którzy zabrali go, wycofując się. Zaczął sobie wyobrażać, że spędzi wiele miesięcy, a może lat, w niewoli, ale kiedy siły rządowe ich otoczyły, rebelianci go wypuścili i rozpiezchli się w dżungli.

Adam oddał bezużyteczny telefon dowódcy sił rządowych, który dołączył do nich tego ranka.

- Nie ma zasięgu.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Kiedy wrócimy do stolicy?

Mężczyzna ponownie wzruszył ramionami.

- Może jutro.

- To za późno.

- Nie ma pośpiechu. Lotnisko jest zamknięte. Pas startowy został ostrzelany.

- Musi być jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. Mężczyzna uniósł brwi. Adam zdjął zegarek marki Rolex, położył go na siedzeniu samochodu, dodał swoją nowoczesną komórkę. Potem wyjął portfel, dorzucił dolary i funty do zegarka i telefonu. Mężczyzna milczał. Adam opróżnił kieszenie, pokazał, że to wszystko, co posiada.

- Co to? - Mężczyzna wskazał mały aksamitny woreczek z obrączką May.

Adam otworzył go i wyjął obrączkę.

- Jeśli mnie tam nie będzie - powiedział - równie dobrze może mnie pan zastrzelić.

Cisza, jaka zapadła, kiedy połączenie zostało przerwane, była nie do zniesienia. May wiedziała już, że Adam żyje, ale nie miała pojęcia, gdzie jest, czy został ranny...

Zadzwoiła do Jake'a, do ministerstwa spraw zagranicznych, dzwoniła do wszystkich, którzy przyszli jej do głowy. Choć w Saminderze rząd odzyskał władzę, w kraju panował chaos.

- Daj spokój, jutro są twoje urodziny. Upiekę ciasto czekoladowe - rzekła Saffy po śniadaniu.

- Umiesz piec ciasto?

- Nie żartuj. Ty mi pokażesz, jak to się robi.

Kiedy wstawiły ciasto do piekarnika, otworzyły się kuchenne drzwi i Jake bez pukania wszedł do środka.

- Niech pani weźmie paszport - powiedział.

- Słucham?

- Adam dzwonił. Przez ostatnie dwa dni jechał przez dżungłę. Do Stanów musi lecieć co najmniej trzema samolotami. Pani musi do niego polecieć. Zarezerwowałem pani bilet do Las Vegas...

- Las Vegas?

- Tam weźmiecie ślub, i to dzisiaj.

- Ale... - Zerknęła na zegarek. - Nie zdążę.

- Leci pani na wschód. Zyskuje pani kilka godzin.

- Racja! - zawołała Saffy, uderzając pięścią w powietrze z szerokim uśmiechem.

- Ale... - May spojrzała na Jake'a. Popatrzyła na Robbie, która też się uśmiechała. -

Nie kupiłam sukni.

- Nie ma pani czasu nawet na pakowanie, ledwie zdążymy na lotnisko - odparł Jake.

- Jaki jest cel pana wizyty w Stanach Zjednoczonych, panie Wavell?

- Dzisiaj się żenię - odparł Adam.

Mężczyzna zlustrował go wzrokiem. Adam miał na sobie smoking, gdy rebelianci przypuścili szturm na hotel. Teraz smoking był brudny, podarty, na koszuli widniały plamy krwi. Nic dziwnego, że został poproszony do kontroli.

- Powodzenia, proszę pana - rzekł mężczyzna z uśmiechem, oddając mu paszport.

W holu czekał na niego szofer.

- Panna Coleridge przylatuje za dziesięć minut, panie Wavell - oznajmił, podając mu kopertę z nową komórką i wiadomością od Jake'a, który napisał, co zorganizował.

May przystanąła w hali przylotów. Jake powiedział jej, że ktoś będzie na nią czekał, ale ona nie widziała tabliczki ze swoim nazwiskiem. Gdy spostrzegła Adama, aż krzyknęła. Jego ubranie było w opłakanym stanie. Wyglądał, jakby nie spał przez tydzień i bardzo schudł. A jego policzek... Dotknęła siniaka, ale on chwycił ją za rękę.

- To nic. Nie masz bagażu?

- Nie miałam czasu się spakować. Nie zdążyłam nawet się przebrać. - Spojrzała na plamy z czekolady na swoim T-shircie. - Zdjęcia ślubne będą fantastyczne. - Żartowała, żeby się nie rozplakać. - Ale skoro nie chciałeś, żeby twoja matka była na ślubie, wystarczy, że powiesz tak.

- Dzwoniłem do niej - odrzekł. - Dzwoniłem też do Saffy. Z Dallas. - Odchrząknął. - Pył - wyjaśnił. - Po wybuchu.

- Adam...

- Chodźmy. Musimy dostać pozwolenie z administracji okręgu, zanim pojedziemy do kaplicy.

- Poszło jak z płatka - rzekła May pół godziny później, gdy wyszli z siedziby miejscowych władz. - Mam nadzieję, przez wzgląd na ciebie, że rozwód okaże się równie prosty.

- Przestań! - Widząc jej przestraszoną minę, zdał sobie sprawę, że przesadził. Pokręcił głową.

Nawet jeżeli on nagle stwierdził, że May uosabia wszystko to, czego oczekiwał od kobiety, ona chciała tylko zatrzymać dom. Kiedy czołgał się przez ruiny hotelu, to właśnie myśl o May dodawała mu sił. Pragnienie, by z nią porozmawiać. Nadzieja, że uda im się zacząć od nowa.

Widząc drobną zmarszczkę między jej brwiami, którą chciał wygładzić pocałunkiem, powiedział:

- Przepraszam. To był najgorszy tydzień w moim życiu. Przyrzekam, że dziś o wszystkim zapomnimy i będziemy się bawić.

- Bawić?

Tak powiedział Jake'owi, kiedy wreszcie dostał działający telefon. Żeby zapomniał o wszystkich pompatycznych uroczystościach. Jake potraktował to poważnie.

Zamiast limuzyny na lotnisku czekał na nich stary biały rolls-royce kabriolet z dużymi błotnikami, szerokim stopniem i czarem minionej epoki.

- Masz coś przeciwko temu? - zapytał, biorąc ją za rękę, kiedy wsiadała do samochodu.

- Ależ skąd! - Zaśmiała się głośno. - Nie do wiary. Wydaje mi się, że to sen.

- Bo to jest sen - odparł, zadowolony, że siedząca obok niego kobieta uśmiecha się jak nigdy przedtem. - Dostałaś w prezencie magiczny dzień, ukradziony bogom czasu dzięki podróży na wschód.

- To nie tak. - Oparła się o miękkie skórzane siedzenie.

Włosy miała w nieładzie, a na T-shircie plamę z czekolady. Wyglądała tak jak dziewczyna, w której się zakochał. Adam przypomniał sobie, jak pokonywał bramę do ogrodu. Kochał May, zanim zrozumiał, co znaczy to słowo. A kiedy się dowiedział, było już za późno.

- Będę musiała go oddać, jak wrócimy do domu. Nie można igrać z czasem.

- Oddamy godziny, ale nie to, co się podczas nich zdarzy. Będziesz mężatką. Twój dom będzie bezpieczny. Zostaną nam dobre wspomnienia.

Spojrzała na niego.

- Wspomnienia powinny być tylko dobre.

- I będą.

- Wystarczy, że cię widzę całego i żywego.

Odwróciła głowę, do jej oczu napłynęły łzy. Obiecała sobie, że nie będzie płakać, ale na widok Adama przeżyła szok. Nie wyobrażała sobie, przez co przeszedł, podczas gdy ona siedziała przed telewizorem, myśląc, że to ona cierpi.

Była pewna, że kiedy go zobaczy, od razu wyzna, że go kocha. Podczas długich godzin lotu przez Atlantyk przygotowała sobie, co mu powie. Jednak gdy go ujrzała, zrozumiała, że Adam nie potrzebuje dodatkowego emocjonalnego obciążenia. Że robi to, o co jego obwiniała. Myśli o sobie. O swoich uczuciach.

- Saffy się załamała - powiedziała w końcu.

- Nie zasłużyłem na to.

Zanim zaprotestowała, samochód skręcił do tropikalnego ogrodu i zajeżdżał przed wejście do hotelu.

- No, no! - powiedziała. Potem w holu powtórzyła: - No, no! Nie do wiary.

Była w Las Vegas i spodziewała się, że ich hotel będzie ogromny, wystawny i błyszczący. Tymczasem znalazła się w eleganckim, bardzo pięknym miejscu.

- Dzień dobry, panno Coleridge, panie Wavell. Mam nadzieję, że mieliście państwo dobrą podróż.

Kierownik hotelu przywitał ich z uśmiechem i poprosił, by usiedli przy bogato zdobionej intarsją recepcji, kompletnie nie zwracając uwagi na wygląd Adama i May.

- To tylko drobne formalności. Panno Coleridge, ma pani wizytę w salonie piękności za pół godziny - oznajmił, podając jej kartkę. - Uprzedzono nas, że będzie pani bez bagażu, więc w apartamencie znajdzie pani ubrania do wyboru w pani rozmiarze, a także przybory toaletowe. To samo dotyczy pana, panie Wavell.

May pokręciła głową.

- Jake jest niesamowity. Pomyślał o wszystkim.

- Czeka na pana kilka wiadomości, panie Wavell. Może je pan odsłuchać na sekretarce w swoim pokoju. - Przeniósł wzrok z Adama na May i z powrotem. - Co jeszcze mogę dla państwa zrobić?

- Tylko jedno - odparł Adam. - Dziś po południu bierzemy ślub. Pani Coleridge będzie potrzebowała jakiegoś wyjątkowego stroju.

- Nie ma problemu. Mamy w hotelu kilka butików najlepszych projektantów, nasza stylistka jest do pani usług. Poproszę, żeby do pani zadzwoniła.

Apartament był więcej niż luksusowy. Ogromny salon z dużymi oknami, które wychodziły na ogród na dachu, gdzie znajdował się także basen, miniaturowy wodospad, kwiaty tropikalne i jacuzzi. Poza tym był też gabinet, barek, dwie sypialnie, każda z własną łazienką. Oraz Julia, która przedstawiła się im jako ich pokojówka.

Kiedy Adam odsłuchiwał wiadomości, zamówiła dla nich śniadanie, przygotowała im kąpiel, a potem odpakowała i poukładała ich nowe ubrania. To jakieś czary, pomyślała May, mocząc się w pachnącej wodzie. Właśnie zamknęła oczy, kiedy telefon, który znajdował się pod ręką, zadzwonił dwa razy. Czy to do Adama?

- Słucham?

- Dzień dobry, panno Coleridge. Mówi Suzanne Harper, jestem pani stylistką. Słyszałam, że wychodzi pani dzisiaj za mąż i potrzebuje czegoś wyjątkowego na tę okazję. Proszę pozwolić, że zadam kilka pytań, zanim zacznę szukać.

Pytania dotyczyły koloru włosów i oczu May, jej ulubionego stylu. Czy woli Armaniego, Chanel czy Diora?

Diora! Nie stać jej na to. Już miała powiedzieć, że niczego nie potrzebuje, kiedy sobie przypomniała, jak Adam na nią patrzył. To on to zaaranżował. To część tych czarów.

- Nie mam ulubionego projektanta. Chciałabym coś prostego.

Musiała jeszcze tylko podać swoje żenujące wymiary.

- Rozejrzę się - obiecała Suzanne. - Zejdzie pani niedługo do salonu?

- Mam wizytę o dwunastej.

- Przyniosę pani coś do pokazania.

- Dobrze.

A skoro May już miała słuchawkę w ręce, zadzwoniła do Robbie i powiedziała jej, że dotarła na miejsce. Zapewniła też Saffy, że jej brat jest cały i zdrowy.

Gdy May weszła do salonu w grubym szlafroku frotte, identycznym jak szlafrok Adama, Adam podniósł wzrok.

- Cześć. - Przysiadła na skraju biurka. - Wszystko pod kontrolą?

- Mniej więcej. A u ciebie?

- Właśnie przeżyłam głęboko zawstydzającą chwilę. Musiałam podać swoje wymiary obcej kobiecie.

- Zemdlała zszokowana?

- Niewykluczone.

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Pewnie z trudem powstrzymywała łzy zazdrości, że starcza ci pewności siebie, żeby się nie głodzić.

- Robię słodczyce i piekę ciasta. Muszę wszystkiego spróbować, żeby wiedzieć, czy jest dobre.

- Doceniam twoje poświęcenie. - Wyciągnął rękę i posadził ją sobie na kolanach. Objął ją, a ona położyła głowę na jego ramieniu. Adam zobaczył łzę spływającą po jej policzku. - Hej, co się dzieje?

- Myślałam, że nie żyjesz.

- Mógłbym nie żyć, gdybym cię zawiódł.

- Idiota! - Uderzyła go żartobliwie.

- Au! - zawołał z uśmiechem. - Czy tak się rozmawia z mężczyzną, który proponuje ci dobrą zabawę?

- Przepraszam. Myślałam, że to będzie proste.

- To jest proste, kochanie. Ale na ciebie pora. - Nawet gruby szlafrok nie był w stanie ukryć jego reakcji na jej ciepłe ciało. - Spóźnisz się do fryzjera.

May z cichym jękiem pobiegła do łazienki, skąd wróciła po chwili w lnianych spodniach w kolorze gorzkiej czekolady i brązowej jedwabnej bluzce, która podkreślała kolor jej oczu. Gęste włosy opadały jej na ramiona.

- Spotkamy się w holu w pół do trzeciej - oznajmił.

- W holu? Ale...

- Załatwię, co mam do załatwienia, ubiorę się i wyjdę się przejść po ogrodzie. - Musi okiełznać swoje libido. - Chyba nie chcesz, żebym ci przeszkadzał u fryzjera i stylistki?

Jej oczy pociemniały, instynktownie odpowiadając na to, co widziała w jego oczach.

- A jeśli będę potrzebowała pomocy przy zasunięciu suwaka?

- Ja umiem je tylko rozpinać. - To było ostrzeżenie, dla niego i dla niej. May mu ufała.

Znając May, niemal na pewno obwiniłaby siebie, przeprosiłaby, że go wykorzystała, gdyby do czegoś między nimi doszło. Nie był pewien, czy na tę myśl ma ochotę się uśmiechnąć, czy może rozplakać. W każdym razie bez wątpienia pragnął ją przytulić i powiedzieć, że jest wspaniała, seksowna, piękna i że mężczyzna, którego wybierze, będzie szczęściarzem.

May ani drgnęła. Wciąż na niego patrzyła pociemniałymi oczami, rozchyliła wargi, jej policzki się zaróżowiły.

- May.

Ruszyła przed siebie.

- No to idę.

May nie wiedziała, co się właśnie stało. Nie, nie jest taka naiwna. Wie. Nie miała tylko pojęcia, jak do tego doszło.

Pod wpływem żartobliwego komentarza wywołanego nerwowym napięciem atmosfera się zagęściła. May nie widziała niczego oprócz Adama, jego ciemnych brwi, miedzianych błysków w jego szarych oczach, jego warg, które przypieczętowały ich umowę pocałunkiem, a potem pocałowały ją bez żadnego powodu.

Przez chwilę stała oparta o drzwi, ledwo trzymając się na nogach. Gdyby Adam jej dotknął, chybaby się rozpadła.

On także to wiedział. Nie chciała stamtąd odejść. Chciała go objąć, przytulić, pokazać mu swoim ciałem to wszystko, czego nie potrafiła ubrać w słowa.

Adam nie pamiętał, kiedy ostatnio tak potrzebował zimnego prysznica. Gdy May spytała, czy ich małżeństwo będzie tylko białym małżeństwem, skłamał, planując w duchu, że z zimną krwią ją uwiedzie. Chciał doprowadzić do tego, by go błagała, żeby się z nią kochał.

Wiedział jednak, że May go nie skrzywdziła. Oddała mu swoje serce, oddałaby mu także ciało, gdyby nie zostali nakryci, nim do tego doszło. Nie musiał zaglądać śmierci w oczy, by wiedzieć, że zemsta nie daje żadnej przyjemności. Poślubi May, zamieszka z nią w jednym domu i będzie się starał o jej względy. Zaproponuje jej prawdziwe małżeństwo, kiedy to udawane dobiegnie końca.

Potrafi zapanować nad pożądaniem. Jeżeli jednak May po raz kolejny da mu tak wyraźny sygnał, nie był pewien, czy jej nie ulegnie.

May wydawało się, że spędziła w salonie kosmetycznym całe wieki. Kiedy stamtąd wyszła, jej niesforne włosy były umyte, ostrzyżone i ułożone. Pozostały mysie, ale teraz była to bardzo elegancka Myszka. Po zabiegach kosmetycznych jej twarz była satynowa. Manikiurzystka spojrzała z przerażeniem na jej paznokcie i pokryła je warstwą akrylu.

Pedikiurzystka zrobiła jej tak piękny francuski pedikiur, że May najchętniej nie wkładała wkładałaby butów.

W międzyczasie Suzanne prezentowała jej wybrane przez siebie kreacje. Ostatecznie, wysłuchując opinii wszystkich obecnych, ograniczyły wybór do czterech sukni.

- Ta - stwierdziła Suzanne, gdy wróciły do apartamentu i May przymierzyła dwuczęściową jedwabną suknię w ciepłym kolorze brandy. - To idealny kolor dla pani.

- Zawsze dobrze się w nim czułam - przyznała May. - Czy to nieuprzejmie zapytać o cenę?

- Rozumiem, że pan Wavell...

- Pan Wavell za to nie płaci.

Zapłacił już za podróż pierwszą klasą, hotel, ale na tym koniec. Kiedy Suzanne się zawahała - najwyraźniej kostium kosztował małą fortunę - May powiedziała:

- Jeśli mi pani tego nie zdradzi, będzie pani musiała go odnieść, a ja włożę te spodnie.

Gdy Suzanne podała jej cenę, May siłą woli powstrzymała się przed głośnym jękiem. Będzie zmuszona sprzedać coś wyjątkowego, by za to zapłacić. Ale już nigdy nie będzie tak świetnie wyglądała, więc uznała, że warto coś poświęcić, toteż podała Suzanne swoją kartę kredytową.

- Proszę zapłacić za wszystko: buty, torebkę, bieliznę.

- Szczęściarz z niego.

- To ja mam szczęście - rzekła May, bardziej do siebie niż do Suzanne.

Kiedy pół godziny później przejrzała się w lustrze, musiała się uśmiechnąć. Spódnica była nieco krótsza, niż May wybrałaby sama, i prosta, a prostych spódnic unikała dotąd jak zarazy, ale miała tak znakomity fason, że wyszczuplała biodra. Ale to zakiet kompletnie ją zawojował. Ciężki jedwab odbijał światło, które dodawało kolorowi głębi. Bielizna modelująca podkreślała raczej, niż ukrywała, kobiecą figurę May. Buty z ciemnobrązowego zamszu, bez palców, z kokardką i bardzo wysokimi obcasami, doprowadziłyby do łez zazdrości Kopciuszka.

- Wygląda pani olśniewająco, May. Proszę iść i złamać mu serce.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Adam zobaczył się w jednej z lustrzanych kolumn i poprawił jedwabny krawat kupiony w hotelowym butik. Teraz już wiedział, jak czuje się pan młody, czekając przy ołtarzu na pannę młodą, która chce zasiać w nim niepokój. To moment, gdy staje twarzą w twarz z ewentualnością życia bez tej kobiety.

Ignorując pobłażliwe uśmiechy mijających go matron, które widziały orchidee w jego ręce oraz jedną w butonierce i wyciągały z tego własne wnioski, zerknął na zegarek.

Kiedy podniósł wzrok, ujrzał przed sobą May. Z włosami poskromionymi opaską, w dużym dresie, w okularach na czubku nosa, May skradła mu serce. Teraz skradła mu także oddech, nie był w stanie zrobić kroku.

Szła w jego stronę na wysokich obcasach, jak modelka na wybiegu w obcych jej ciuchach. Odśloniła swoje wspaniałe kostki. Ludzie się za nią oglądali, mężczyźni i kobiety. Wreszcie Adam odzyskał władzę w nogach i ruszył w jej stronę. Gdy przed nią stanął, czuł się jak nastolatek, który nie może wydusić słowa.

- Ładne kwiaty. - Spojrzała na kremowe orchidee. - Pasują do krawata.

Już miał jej powiedzieć, że wybrał ten krawat i kwiaty, bo pasują do jej oczu, ale wziął się w garść.

- Na szczęście pasują też do twojego kostiumu - stwierdził, podając jej bukiet.

- Dziękuję. - Delikatnie pogładziła płatek, a potem uniosła rękę do jego butonierki.

- Pomyślałeś o wszystkim.

Przez ostatnią godzinę krążył po hotelowym centrum handlowym, kupił krawat, kwiaty, oglądał żółte brylanty na wystawie u Tiffany'ego, zastanawiając się, jaki odcień pasowałby do zaręczynowego pierścionka babki May.

Wziął ją za rękę.

- Chciałem ci kupić pierścionek.

- Nie miałam zamiaru... - Podniosła wzrok. - Miałam go na palcu, jak Jake po mnie przyszedł.

Adam pokręcił głową.

- Chyba nie ma na świecie drugiego pierścionka, który bardziej by do ciebie pasował, więc kupiłem to w zamian. - Wyjął z kieszeni małą turkusową sakiewkę, a z niej brylantowy wisiorek. - Chyba ci odpowiada.

- Adam, nie wiem, co powiedzieć.

- Nic. Odwróć się, zapnę go.

Czerwieniła się jak młoda dziewczyna, pomyślał, choć była dojrzałą kobietą. Kobieta, która sama zarabia na życie, myśli o swojej przyszłości, i od czasu do czasu potrzebuje pomocnej dłoni, kiedy wspina się wyżej, niż powinna, ale nigdy nie szuka u nikogo wsparcia.

Adam odniósł wrażenie, jakby przeżył życie jak lunatyk. Jakby całą energię, całe serce włożył w budowanie swojego imperium, lekceważąc to, co naprawdę ważne i prawdziwe. Teraz był w pełni przytomny i pełen oczekiwań, podniecony jak każdy inny mężczyzna, który tego dnia stanie w kolejce po świadectwo ślubu.

- Wyglądasz zachwycająco. - Bał się, że zrobi z siebie głupca, więc dodał: - Nie chciałem, żebyś za to płaciła.

- Wiem, ale moja babcia powiedziała mi kiedyś, że jak mężczyzna kupuje kobiecie ubranie, to oczekuje, że będzie mógł je z niej zdjąć.

Wypowiedziała to tak gładko, jakby się tego nauczyła na pamięć. Żeby mu coś uświadomić.

- Twoja babka była mądra. Szkoda, że nie widzi, jaką ma piękną wnuczkę.

- Ja też żałuję. - Nagle jej oczy pojaśniały. - Idziemy?

Adam podał jej ramię. Odzwierny otworzył im drzwi, zdjął czapkę, a potem odjechali w miękkim popołudniowym słońcu.

Na pozór May zachowywała spokój. To wszystko wina butów. Tak wysokie obcasy wymagały całkowitej koncentracji, nie była w stanie skupić się na niczym innym. Gdy jednak wzięła Adama pod ramię i wiedziała, że on ją podtrzyma, gdyby się potknęła, jej pozorny spokój zniknął.

- Wszystko w porządku? - zapytał Adam.

Kiwnęła głową, bała się odezwać. Potem, w samochodzie, kiedy już była pewna, że ulegnie hiperwentylacji, samochód zwolnił, a May zobaczyła dużą tablicę i cicho jęknęła.

- Kaplica dla Zmotoryzowanych?

- Prosiłaś Jake'a, żeby zrobił nam niespodziankę - przypomniał Adam. - Nie podoba ci się. Przepraszam. Jesteś taka elegancka. Może nie jest za późno... Zaslugujesz na więcej, May. W hotelu jest kaplica. Może znajdą dla nas wolną chwilę...

- Nie!

Miał taką nieszczęśliwą minę, że wzięła go za rękę.

- Jest idealnie - zapewniła go. - Naprawdę super.

Nie kłamała. Było zupełnie inaczej, niż sobie kiedyś wyobrażała. Taki ślub budził w niej raczej śmiech niż łzy. Nie było w tym żadnej powagi. Niczego, co złamałoby jej serce.

- Bardzo mi się podoba - powtórzyła.

Duchowny w białym garniturze czekał na nich w oknie.

- Panna Coleridge? Pan Wavell?

- No... tak...

- Witamy w Kaplicy dla Zmotoryzowanych. Macie państwo pozwolenie na ślub?

Adam wyjął kartkę z kieszeni i podał ją mężczyźnie.

- Czy jesteście oboje gotowi złożyć małżeńską przysięgę? - Mężczyzna spojrzał na May.

- Oczywiście.

Mężczyzna zwrócił się z kolei do Adama, który odparł:

- Tak, oczywiście.

Gładko wypowiedzieli małżeńską przysięgę. Adam wsunął na palec May obrączkę jej babki, po czym otworzył swoją dłoń, na której leżała taka sama obrączka, tylko sporo większa. Kiedy May wzięła ją do ręki, miała wrażenie, że świat wstrzymał oddech. Włożyła ją na palec Adama.

- Ogłaszam was mężem i żoną. Może pan pocałować pannę młodą.

- Czy mogę pocałować pannę młodą, pani Wavell? - spytał Adam.

Z jej ust wydobył się dźwięk, który wziął za pozwolenie. Dotknął wargami jej ust, ale już po chwili nabrał odwagi i całował ją tak, że gdyby nie fotograf, chciałaby, żeby to

się nigdy nie skończyło. Po chwili w sąsiednim okienku odebrali zdjęcia razem z pamiątkowym świadectwem przysięgi małżeńskiej.

- Dokumentacja fotograficzna - rzekł Adam, przeglądając zdjęcia. Pokazał jej to, na którym się całowali na tle znaku Kaplica dla Zmotoryzowanych. - Może powinniśmy je wysłać do „Celebrity”?

- Rozpocząć nowy trend małżeństw pod przymusem?

- Może nie. Ale to powinno zadowolić Freddiego, dopóki nie zarejestrujemy małżeństwa u nas w kraju.

May kiwnęła głową i spytała:

- A gdzie burger i frytki?

- Słucham?

- Kaplica dla Zmotoryzowanych powinna serwować śniadania dla nowożeńców.

- Jesteś głodna?

- Jeszcze jak.

Tak była zajęta opieką nad dziadkiem, domem, warsztatami, że nie miała czasu na refleksję. Teraz odkryła, że umiera z głodu, ale nie chodziło tylko o jedzenie.

Ta pustka była dużo głębsza. Pragnęła, by Adam patrzył na nią tak jak w hotelowym apartamencie. Żeby jej dotknął. Ona też chciała go dotykać, całować go jak kochanka, a także jak przyjaciela. Być, choćby przez jedno magiczne popołudnie, jego żoną w każdym sensie tego słowa.

- Nie wiem, czy jest pora lunchu, czy może kolacji - powiedziała. - Ale nie żywię się sałatą, jak wiele kobiet. - Odwróciła się, bo akurat mijali znajome logo. - Tam! Możemy podjechać i kupić cheeseburgery oraz frytki.

Uśmiechnął się.

- Nie jesteś zbyt wymagająca.

- Zapłaciłeś za podróż pierwszą klasą, za apartament dla księcia i za brylantowy naszyjnik. - Dotknęła go. - Potrzebujesz żony, która okiełzna twoją ekstrawagancję. Mimo to poproszę jeszcze o koktajl truskawkowy.

Po powrocie do hotelu śmiali się ze swojego zaimprovizowanego pikniku. Julia, uprzedzona o ich powrocie przez recepcjonistę, czekała na nich z szampanem, tacą eg-

zotycznych kanapek, czekoladkami i ciastem. A także koszem czerwonych róż, tak dużym, że zdominował wielki salon. May pobladła na ich widok.

- Mogłabyś je zabrać, Julio? - poprosiła. - Jestem uczulona na róże.

- Oczywiście, pani Wavell. Życzę państwu wszystkiego najlepszego.

- Dziękuję.

To powiedział Adam, May nie mogła mówić. Nie mogła na niego spojrzeć. Nie ruszyła się z miejsca, dopóki nie poczuła jego ręki na ramieniu.

- W porządku, May. Wiem.

- Wiesz? Co wiesz?

- O płatkach róży.

- Co wiesz? - wyszeptała.

- Że je zebrałaś i zaszuszyłaś w tomiku wierszy.

Tak, ale to nie wyglądało tak miło, musiała je zbierać na czworakach, po ciemku, ślizgając się na zamrożonej wodzie. Dłonie miała tak zimne, że straciła czucie.

- Skąd wiesz? Nikt o tym nie wie...

- Kiedy na ciebie czekałem w twoim salonie, wziąłem do ręki tom sonetów. Wypadł z niego płatek. Wtedy zrozumiałem, co zrobiłaś dla Saffy, zrozumiałem też, co to znaczy.

- Dziadek dał mi wybór - odrzekła szybko May. - Miałam przysiąc, że nigdy się do ciebie nie odezwę, albo Saffy pójdzie do więzienia. Dałam słowo. - Uniosła ręce i ujęła jego twarz w dłonie. - Zapomnij o tym. To przeszłość.

- Jak mam o tym zapomnieć? To wspomnienie twojej twarzy dodawało mi siłę, kiedy czołgałem się w zburzonym hotelu. Myśl o tobie...

Uciszyła go pocałunkiem, a potem zaczęła powoli rozpinać jego marynarkę.

- Co robisz?

- Nadrabiam stracony czas - odparła. - Biorę to, co nam kiedyś zabrano. - Rozpięła spódnice, zawahała się. - Mogę liczyć na pomoc z suwakiem?

Nie zdejmując z niej wzroku, rozpiął jej suwak, a spódnica opadła na podłogę. Położył dłoń na ciepłej krągłości jej biodra, dotknął wargami jej ust. Zupełnie jakby znowu mieli osiemnaście lat. Dotykali się wtedy z ciekawością i zdumieniem, ze strachem, ze

świadomością, że ta chwila zmieni ich oboje. May samym spojrzeniem dawała mu wtedy znać, czego pragnie, jednocześnie zawstydzona i podniecona. Naiwna i odważna. Nie-winna jak dziecko, a jednak świadoma swoich pragnień. Jego pragnień. Nie spieszyła się, kazała mu czekać, sprawiła, że czuł się jak bóg... Teraz robiła to samo. Rozpinała jego koszulę, popychającego do sypialni. Całowała jego siniaki, aż się pochylił i chwycił ją pod kolana.

- Proszę, Adam... - błagała, kiedy kazał jej czekać. - Proszę...

Jego świat się zachwiał. Odsunął się od niej na skraj łóżka. Ze wstydu, zdesperowany, by uciec przed tym, czego o mały włos nie zrobił. W końcu usiadł na krześle z głową w dłoniach.

- Co się stało, kochanie? - Przyklękła u jego stóp. - Źle się czujesz?

- Nie.

- Więc co?

- Chciałem, żebyś mnie prosiła.

Ściągnęła brwi, ujęła jego dłoń, ale on ją wyrwał.

- Chciałem doprowadzić do tego, żebyś mnie błagała. Chciałem kochać się z tobą w łóżku twojego dziadka. - Podniósł wzrok. - Kiedy mi powiedziałaś, że stracisz dom, myślisz, że mnie to poruszyło? Cieszyłem się. Wiedziałem, że teraz będziesz moja. Chciałem pokazywać się z tobą jako panią Wavell, żoną tego smarkacza z czynszówki.

- Więc o co chodzi? Za mało cię błagałam? Czy chcesz z tym poczekać, aż wrócimy do domu?

Gwałtownie uniósł głowę.

- Nie! Myliłem się. Nie zasługuję na ciebie, ale myślałem, że jeśli poczekam, jeśli będę się starał o twoje względy, pokażę ci, że jestem cię wart. I może za rok, kiedy będziesz znów wolna, jeśli zechcesz, poproszę cię jeszcze raz o rękę. Ale tym razem jak należy.

- Za rok?

- Albo dłużej, poczekam, ile trzeba. Kocham cię, May. Nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety tak jak ciebie.

Pokręciła głową i wstała.

- Spędziłam koszmarne tygodnie, myśląc, że nie żyjesz. Żałując, że ci nie wyznałam, jak cię kocham, kiedy miałam na to szansę. A potem postanowiłam nie obciążać cię moimi emocjonalnymi potrzebami. Rozumiem twoje uczucia, ale czekałam ponad dziesięć lat, żebyś dokończył to, co zacząłeś. Nie jestem gotowa czekać kolejny rok. A ty? - Wyciągnęła rękę, wstrzymując oddech.

Wydawało jej się, że zanim Adam ujął jej dłoń, minęła wieczność.

Dzwonnik czekał, by dać z siebie wszystko. W chórze dominowały anielskie soprany. W kościele byli chyba wszyscy, których znała. I wiele osób, których nie znała. Był tam Freddie, matka Adama, Saffy z Michelem i jego rodzicami, Nancie w różowych falbankach jako honorowa drużna, Robbie jako starościna wesela.

Było tak, jak May wyobrażała sobie przed laty. Ławki udekorowano różami, bluszczem i mirtem. May trzymała bukiet brązowych róż Davida Austina, z których jedną przeznaczyła do butonierki Adama.

Było prawie tak, jak sobie wymarzyła. Bo nawet znana miejscowa projektantka Gina Wagner nie mogła jej wcisnąć w suknię w rozmiarze, który May zwykle nosiła. Jedna z krawcowych do późnej nocy robiła poprawki, poszerzając suknię w talii, by zmieściło się pod nią nowe życie, owoc ich zaimprovizowanej podróży poślubnej.

Dokładnie tak jak chciała, a równocześnie inaczej. Będąc nastolatką, nie miała jednak pojęcia, jak będzie się czuła tego dnia. Marzenie stało się rzeczywistością. Przepięła ją radość. Pastor zaczął:

- Moi drodzy, zebraliśmy się tutaj, żeby pobłogosławić małżeństwo May i Adama...

